

NR 34/35

lipiec–październik

2001

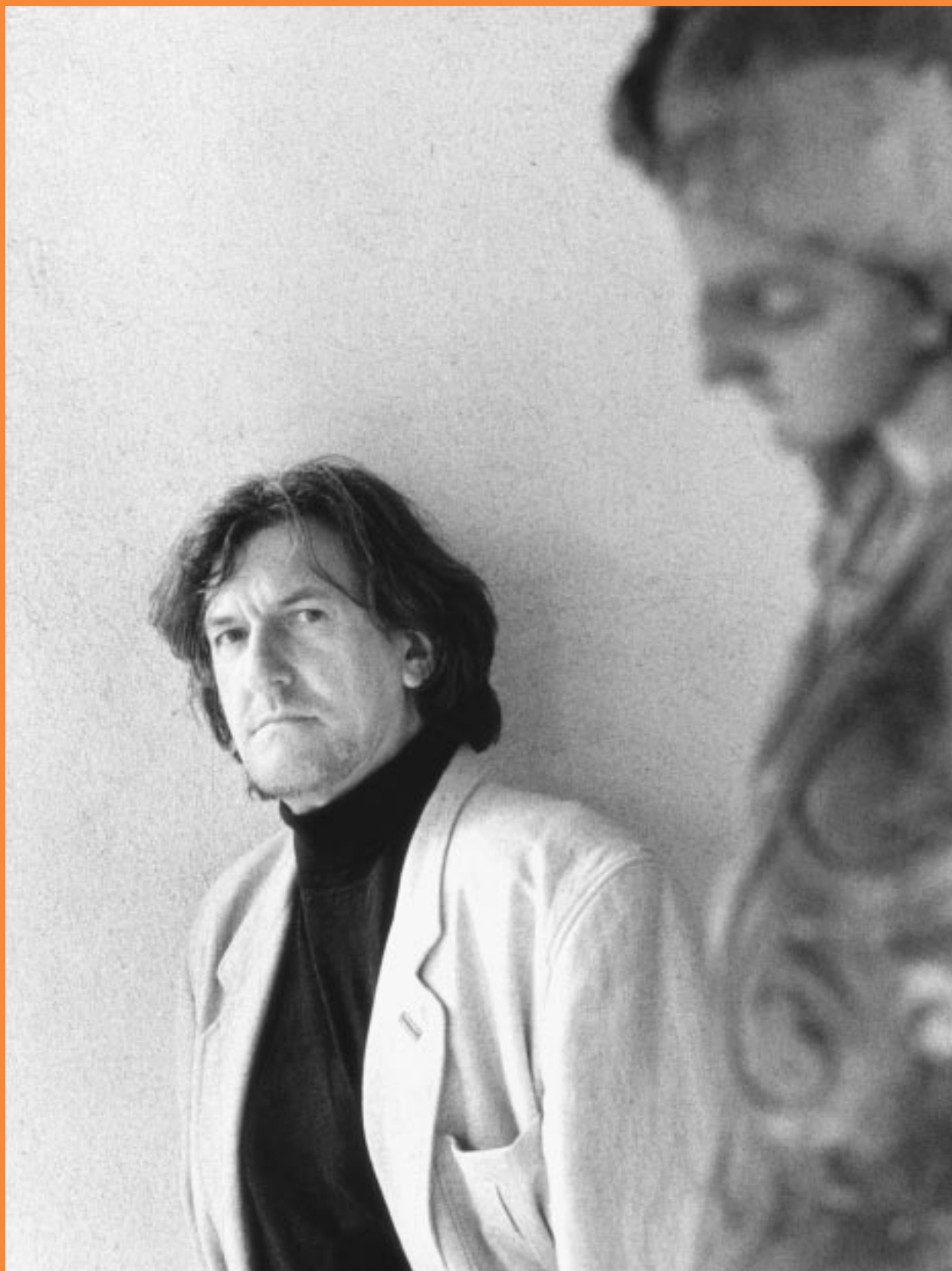
aleje 3

**DWUMIESIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY**

ISSN 1427-8812 CENA 1 ZŁ

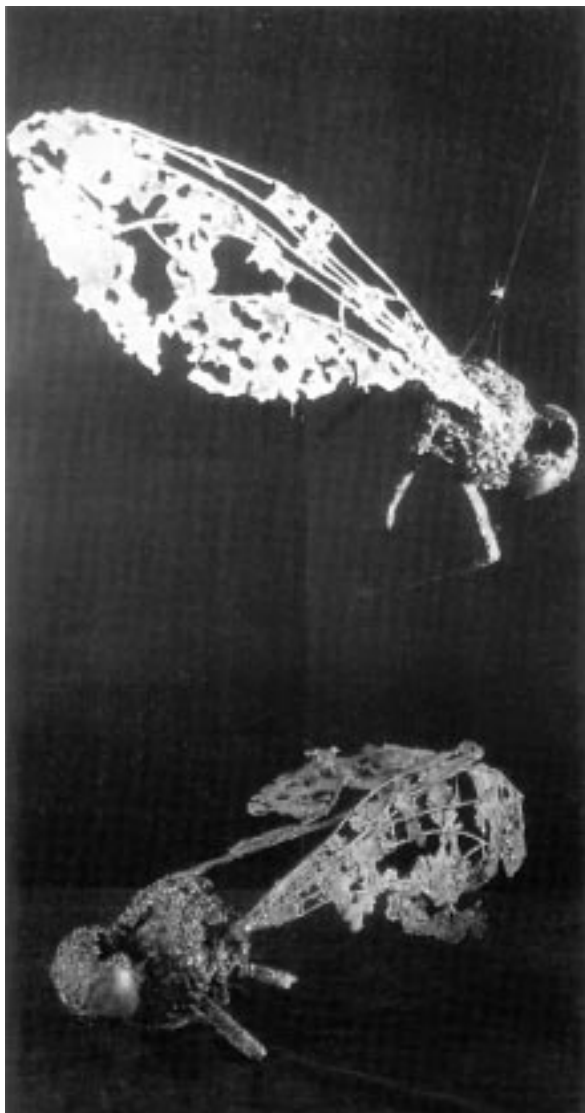
W NUMERZE:

- * **Ludmiła
Marjańska**
- * **Wojciech
Prażmowski**
- * **Marian
Rawinis**
- * **List
w sprawie „3”**
- * **Młoda
częstochowska
dramaturgia –
Małgorzata
Matera**



Wojciech Prażmowski na fotografii Janusza Mielczarka

Joanna Zeler, „Mucha”, 2000, technika własna, fotografia.



Agata Gabor, „Katedry”, olej, płótno



Arkadiusz Zając, „Zjawisko”, 2000 r., akryl, ołówek, płyta

Prace z wystawy
„Nadzieje plastyczne
Częstochowy” w Miejskiej
Galerii Sztuki –
czerwiec/lipiec 2001 r.
O wystawie piszemy na
stronie 36

SPIS TREŚCI

proza	4
zapiski o świecie	14
poezja	17
recenzje	18
rozważania	21
scena „błazen”	22
sztambuch teatralny	25
dramat	27
z miasta	33
opinie	34
plastyka	36
galeria	42-52
informator kulturalny	wkładka

Sprostowanie: w poprzednim numerze pominęliśmy nazwisko Janusza Mielczarka jako rozmówcy Leszka Pilichowskiego w dziale: galeria, za co obu Panów i Czytelników przepraszamy.

aleje 3

DWUMIĘSIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

WYDAWCA
Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA
ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emedia.eisp.pl

Redaktor naczelny
KRYSTIAN PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:
SŁAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta
ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny
MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

DTP
wydawnictwo
emedia

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89

DRUK
DRUKARNIA **KEMOT**
Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne
MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

Choćbyśmy nie chcieli, nasze miasto jest przesiąknięte kultem religijnym i tak jest postrzegane w kraju i świecie. Nie bez powodu tutaj odbywają się imprezy kojarzone z sacrum, takie jak niedawny festiwal „Gaudere Mater”, wystawy malarstwa itp. Latem przeżywamy obłężenie na Jasnej Górze. Myślę, że uzasadnionym będzie napisanie kilku słów o papieżu. Chociaż nie jestem szczególnie religijny i w wielu kwestiach religia jako system budzi we mnie duże opory, wielkości tego człowieka nie kwestionuję. Jest dla mnie takim samym autorytetem moralnym jak Gandhi czy Dalajlama. Zaliczam go do szeregu osób, które próbują naprawić świat, walczą o pokój, przypominają o biedzie, głoszą przewagę wartości duchowych nad materialnymi, co zwłaszcza dzisiaj jest ważne. Jego sylwetka będzie pamiętana przez co najmniej kilkaset następnych lat. Naprawia to, co jego poprzednicy zepsuli w ciągu ostatnich kilkunastu wieków. Wziąć na swoje barki tak epokowe dzieło jak zmiana modelu chrześcijaństwa na następne być może 1000 lat jest czymś wielkim, powiedziałbym nawet ogromnym. Nasz świat bez przerwy iskrzy i dymi, kipi z nienawiści. Ludzie się nie zmienili. W dalszym ciągu trzeba ich cywilizować. Cywilizowanie odbywa się także przez kulturę. Współcześni przypominają pogańskich Rzymian pławiących się w dostatku i przyjemnościach, delektujących się ekranowym okrucieństwem. My dzisiaj – to wyrafinowani barbarzyńcy, zadufani w sobie i swój racjonalistyczny raj zbudowany na ekonomii i zaawansowanej technologii. Analogii jest więcej, a dla pierwszych apostołów byłoby dzisiaj równie dużo do zrobienia, co za czasów Nerona. Nie bez powodu „Quo Vadis” jest najbardziej znaną polską książką na świecie, ponieważ dotyczy całego gatunku ludzkiego. „Dokąd zmierzasz człowieku?” – pytanie jak najbardziej aktualne.

Karol Wojtyła nie jest lubiany na Zachodzie za konserwatyzm wobec wolności obyczajowej i seksualnej, która tam doprowadzona jest niemal do absurdu. Mówią: „polski zacofany Góral”. Owszem, prowadzi on typowo polską politykę ugody, kompromisu, dążenia do porozumienia,

dialogu, jakże odmienną od zarozumiałej i agresywnej polityki krajów zachodnich (nasza tradycja sięga aż średniowiecznego dyplomaty Pawła Włodkowica). Jego podróże i mediacje z Arabami, Żydami, prawosławnymi, protestantami i przedstawicielami różnych innych wyznań, dowodzą jak mocno konfliktogenne jest istnienie wielu religii obok siebie i ile jeszcze trzeba zrobić, żeby zapobiec odwiecznym „świętym wojnom”. Ktoś jednak musiał ten proces zacząć i za to należy mu się pokojowa nagroda Nobla. Nie wiem czy nasz papież jest reprezentatywny dla całego Kościoła katolickiego, czy wszyscy go tam popierają, czy jego następcy będą kontynuować zaczęte dzieło, czy zburzą jego dorobek i puszcza w niepamięć. Ludzie będą pamiętali papieża jako podróżnika-pielgrzyma, który pomimo choroby, wieku i niebezpieczeństw odwiedził większość krajów, gdzie żyją jego wierni i zarzucił styl życia króla urzędującego w swojej rezydencji. Życie jest przecież podróżą, w której zalicza się kolejne słupy milowe. I chociaż mógłby już abdykować i poświęcić się np. działalności pisarskiej, ciągnie swoje dzieło niestrudzenie i uparcie, jak na Górala przystało. Papież jest w dalszym ciągu znakiem przemian i nowych czasów...

Skoro o podróżowaniu mowa (mamy już lato), życzę naszym Czytelnikom udanych rejsów, wycieczek, wypoczynku, interesujących znalezisk i słońca. Oczywiście nie zapomnijcie o lekturze naszego magazynu (w nim jak zwykle trochę nowości, wspominków, recenzji i wywiadów). Tym, którzy podróżują w Internecie polecam nową częstochowską stronę www.jasnachmura.art.pl poświęconą Ziutowi Gralakowi i muzykom z nim związanym. Kto pamięta ubiegłoroczny film animowany „Truskafki” będzie wiedział o co chodzi. Promocją strony (2.VII) w OKF-ie – „www.wernisaż” przyciągnęła wielu widzów, co może świadczyć, że zainteresowanie tą technologią (sztuką) w naszym mieście jest duże, i że w tej dziedzinie można jeszcze wiele zrobić. Żartobliwa nazwa „Jasna chmura” – to także sympatyczne hasło na wakacje w mieście.

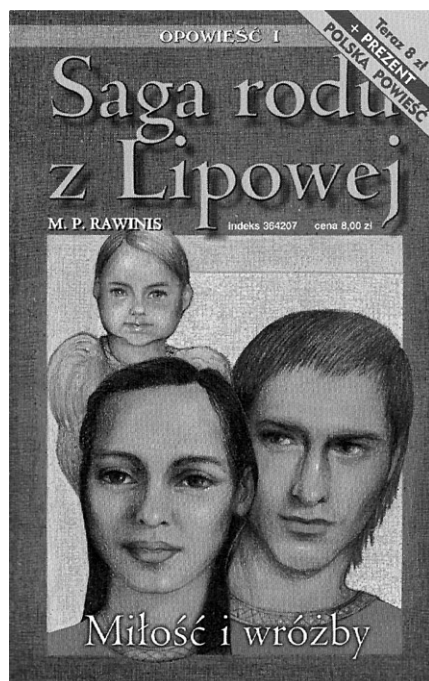
Sławomir Burszewski



Strona główna serwisu „Jasna Chmura”

POWIEŚCIOPISARZ HISTORYCZNY

**Rozmowa z
Marianem Piotrem Rawiniszem**



W maju w kioskach całego kraju można było kupić książkę częstochowskiego autora M.P. Rawinisa pt. „Saga rodu z Lipowej”. Od początku pachniało sensacją: „Pierwsza polska saga historyczna! Od średniowiecza do współczesności!” – krzyczała lokalna prasa. Zaskoczenie było tym większe, że autor nie starał się krzykliwie afiszować w miejscowym świecie literackim i poświęcał się pracy dziennikarskiej – wydawniczej. Aby wyjaśnić zagadkę bomby sezonu udałem się do redakcji pana Mariana w jednej z bram trzeciej Alei.

Sławomir Burszewski – Jak długa to będzie saga?

Marian Rawinis – Nie wiem jeszcze z ilu tomów będzie się składała, ponieważ nie jest jeszcze skończona. Do końca roku powinno się ukazać sześć części – pierwsze cztery co miesiąc, następne co dwa. Obejmują one okres pięćdziesięciu lat. Nie wiem do jakich czasów uda mi się ją dociągnąć, ale chciałbym ją zamknąć zabawą na placu Biegańskiego w sylwestra roku 2000. Może w 250-tym odcinku? Niekoniecznie tak musi być... To nie jest cykl powieściowy w tym sensie, że każda część stanowi odrębną całość. Jest to kontynuacja, a więc trzeba go czytać w kolejności, żeby śledzić powiązania pokoleniowe.

S.B. – Czy dobrze się sprzedaje?...

M.R. – Pierwsza część była sprzedawana w obiegu zamkniętym, przez firmę wysyłkowa „Klub dla Ciebie”. W ciągu trzech pierwszych tygodni sprzedano 17 000 egzemplarzy. Od maja rozprowadzana jest w sieci „Ruch”. Według polskich standardów sprzedaż książki powyżej 10 000 woluminów daje status bestselleru. Jestem zadowolony z tego wyniku. Nakład pierwszego

tomu wynosi 80 000 egzemplarzy. Książkę wydała „Pol Nordica”.

S.B. – Skąd się wziął pomysł sagi?

M.R. – Z wyobraźni. W Polsce sagi rodzinnej jak do tej pory nie było. Podobnie jak popularnych powieści (romansów) historycznych. W odróżnieniu od sag fantasy, ta jest sagą realistyczno-historyczną. Są czary i wiedźmy, lecz jest to element rzeczywistości średniowiecznej. Poza wątkami fikcyjnymi występują wątki historyczne, jak np. bunt wojewody Borkowica, losy królowej Jadwigi i Jagiełły, początki Jasnej Góry i inne.

S.B. – 700 lat do opisanie to ogromny przedział czasu. Dużo materiału historycznego do zebrania. Jak długo przygotowywał się Pan do napisania książki?

M.R. – Można by powiedzieć, że przygotowuję się do tego całe życie, natomiast piszę ją od niedawna. Tom pierwszy napisałem latem 1999 roku. Wcześniej wydałem sześć książek, ale jestem zaskoczony dynamicznym tempem edytorskim, bo dawniej tak nie było. Od momentu napisania książki do jej wydania upływało zwykle kilka lat. Jest to na pewno zbieg rozmaitych korzystnych okoliczności. Książkę zaproponowałem wydawcy, a on kupił pomysł. Zainwestował, bo piszę dużo i szybko, więc mam szansę utrzymać ciągłość serii. Czytelnik musi pamiętać, co się działo w poprzednim odcinku. Tak jak w serialu. Na polskim rynku jest to zjawisko rzadkie. Nawet Sapkowski wydaje co dwa lata. Czasy są w ogóle szybkie.

S.B. – Mam wrażenie, że książka jest adresowana do młodego czytelnika...

M.R. – „Saga rodu z Lipowej” jest historią popularną adresowaną do tzw. „szerokiego kręgu odbiorców”. Odbiorca zawsze był różny i różnie odbierał. Chciałem, żeby to co napiszę było przyswajalne przez rozmaite środowiska, różne grupy wiekowe, a jeżeli przy okazji uda się sprzedać parę drobnych informacji dotyczących polskiej historii, dawnej obyczajowości, to bardzo dobrze.

S.B. – Czy pisząc tę książkę miał Pan zamiar zrobić z niej regionalną sagę jurajską?

M.R. – W moim zamyśle miała to być saga rodzinna z dużą ilością wątków i bohaterów, z akcją osadzoną w bliskim mi regionie. Akcja dzieje się w Olsztynie, Mstowie, Potoku i w innych okolicznych miejscowościach, w Częstochowie również. Tutejsze wątki historyczne i legendarne (słabo znane w Polsce i w samym regionie) są tak wdzięcznym tematem, aż się prosiły, żeby je gdzieś sprzedać. Jest to w pewien sposób promocja naszego regionu.

S.B. – *Czy były jakieś wzory przy pisaniu sagi?*

M.R. – Były. Wymienię kilku autorów. Z literatury obcej Aleksander Dumas. Z polskiej Sienkiewicz. Z literatury współczesnej trudno mi coś wymienić. Klasycznym wzorem sagi jest „Bolesław Chrobry” Gołubiewa, ale dzisiaj nikt tego nie czyta, bo rzecz jest napisana szalenie trudnym, archaizowanym językiem. U nas spojrzenie na książki historyczne jest dawne. Polega ono na szalenie poważnym, naukowym, skomplikowanym wykładzie, trudnym w odbiorze, bardzo patriotycznym, zaangażowanym. Generalnie trudnym do czytania i przyswojenia. Natomiast moja książka jest z założenia rozrywkowa, bo to jest przecież funkcja literatury, znana od czasów starożytnych: dostarczać ludziom rozrywki. Zwłaszcza krytycy tego aspektu nie dostrzegają. Nie ma w niej długich opisów. Rzecz polega na dzianiu się, bo czytelnik jest dzisiaj troszeczkę inny, poza tym każdy potrafi sobie to i owo wyobrazić. Dzisiaj pisze się zupełnie inaczej niż w XIX wieku.

S.B. – *Jak się pisze pisarzowi na prowincji, z dala od wielkich ośrodków kulturalnych, takich jak Kraków czy Warszawa?*

M.R. – Dla pisarza nie ma to żadnego znaczenia, gdzie się pisze. Mam kilka ulubionych miejsc w Polsce i w tej książce piszę też o nich. Przy wątkach krzyżackich zahaczam o strony rodzinne (Mazury). Technicznie jest to kwestia obojętna. Z moim wydawcą porozumiewam się głównie drogą elektroniczną. Dawniej było ważne, czy się było blisko centrum, obecnie już nie. Moja książka drukowana jest w Norwegii. Odległości są dzisiaj jakby mniejsze. Wszędzie pisze się tak samo. Drugi tom napisałem w Warszawie. Uważam, że prowincja jest stanem ducha.

S.B. – *Jak się Pan widzi na mapie literackiej miasta?*

M.R. – Nie wiem czy jest w ogóle coś takiego jak mapa literacka miasta. Nie bywam w miejscach, gdzie bywają miejscowi literaci, o ile tacy są. Fakt, że nie należę do żadnego związku literackiego, to jest mój osobisty wybór. Mogłem do nich należeć przynajmniej od 1989 roku. Praca pisarska jest jak rzadko która pracą indywidualną w odróżnieniu od pracy dziennikarskiej, bardziej zespołowej.

S.B. – *Przez rok 1997 był Pan redaktorem naczelnym naszego czasopisma. Jak pan wspomina tamten okres?*

M.R. – Redagowałem je z konieczności, bo wtedy nie było chętnego na to miejsce. Traktowałem to jako dodatkowe zajęcie, ale myślałem że

każde doświadczenie jest ważne. Nie bardzo już pamiętam. Cenię sobie natomiast „Dziennik Częstochowski 24 Godziny”, pierwszą niezależną gazetę w Częstochowie. Jej redagowanie wspominam z sympatią, bo i czas był wtedy specyficzny...

S.B. – *Co poradził by Pan młodym twórcom?*

M.R. – Każdy musi sobie wypracować swoją drogę twórczą. Podstawowa rada: dużo pisać i czytać, pracować nad warsztatem. Nie chcę się chwalić, ale w tej chwili jestem w stanie napisać każdą formę w każdy sposób swobodnie – stoi za mną ileś lat rozmaitych doświadczeń. Od dziennikarstwa poprzez różne krótkie formy literackie do dłuższych, powieściowych. Jest sprawdzona zasada: najlepsi poeci to przeważnie ludzie młodzi, a prozaicy pewną dojrzałość osiągną z wiekiem. Jak mawiał Saint-Exupéry: „żeby pisać, trzeba najpierw żyć”.

S.B. – *Spytam o najbliższe plany.*

M.R. – Nigdy nie narzekałem na brak pomysłów. Teraz powstrzymuję się przed pisaniem opowieści, której akcja działałaby się sto lat temu, w zaborze pruskim i w Rosji, dlatego że jeszcze pracuję zawodowo. Jestem zabieganym człowiekiem, narzekam na brak czasu. Muszę sobie narzucać dyscyplinę wewnętrzną, bo mam wiele rzeczy w różnym stopniu zaawansowanych. Gdybym bardzo chciał, mógłbym w ciągu kilku najbliższych miesięcy wydać parę zupełnie innych książek.

S.B. – *Czy liczy Pan na rozgłos, sławę i karierę?*

M.R. – Blaise Pascal powiedział kiedyś, że tęsknimy do sławy, ale właściwie zadawała nas opinia kilku osób nam najbliższych. Ja już taką opinię mam. Opinia czytelników jest dla mnie bardzo ważna. Dostałem sporo recenzji od znajomych z kraju i ze świata i są to głosy pozytywne, co mnie bardzo cieszy. Cyrk medialny mnie nie bawi, dlatego nie było planowanej przez wydawcę promocji w stolicy. Jestem ciekaw, jaka będzie opinia krytyki, ale nie sądzę, żeby się moją książką zajęła, gdyż krytyka zajmuje się wybitnymi dziełami, które się ukazują w nakładzie 300 egzemplarzy. Jeden z krytyków napisał, że jest to powieść fantasy i że mieszkam w Łodzi. Zabawne.

S.B. – *Myślę, że czytelnicy Pana nie zawiodą i doczytają się do współczesności.*

M.R. – Jeżeli będzie zainteresowanie serią, to będzie się ona ukazywała. Prawa rynku są nieubłagane.

S.B. – *Życzę sukcesu. ■*

Marian Piotr Rawinis, „Saga rodu z Lipowej”, „Pol Nordica”, Otwock 2001.

Marian Piotr Rawinis

księżycowe zioła

fragment „Sagi rodu z Lipowej”

Księżyc oświetlał jasno całe pole i stok wzgórze. Gościcha patrzyła przez jakiś czas na jego pełną tarczę, pociągała nosem, jakby węsząc, a potem klepnęła po plecach stojącego obok Jeny.

– Już pora – powiedziała. – Zioła dojrzały i wykapały się w świetle. Teraz zbierzemy je szybko, póki księżyc się nie schowa.

Chłopak posłusznie wyjął zza rzemienia, którym był przewiązany, kilka płóciennych woreczków. Stara wydzieliła mu dwa, a pozostałe zabrała ze sobą.

– Pójdiesz na prawo – poleciła. – Spotkamy się koło tamtego kamienia. Pamiętaj, zbierasz tylko kwiaty tasznika i podbiału. Sama znajdę wszystko inne.

Ruszyli łąką po stoku, oddalając się od siebie coraz bardziej. Pracowali w milczeniu, szybko i sprawnie. Ziół nie brakowało, więc już po chwili Jeny miał napełnione woreczki. Wyprostował się, żeby zawołać opiekunkę, kiedy wielki cień przesłonił mu nagle światło.

– Duch! – krzyknął Jeny, raczej zdziwiony niż przestraszony. Obcując na co dzień z Gościchą, jej zwierzętami i jej zaklęciami, nie bał się prawie niczego.

Duch zaśmiał się jak najbardziej ludzkim głosem, chwycił chłopaka za kark i wielką łapą zasłonił mu usta. Był wielki, pokryty zwierzęcymi skórami, miał rogi na głowie i pachniał dymem jak prawdziwy czart z piekła.

– Cicho, bachorze! – warknął. – Bo kark ci skręce

Jeny szarpnął się, ale nie udało mu się wyrwać z uścisku. Machał rękami, kopał nogami, nie robiło to jednak na trzymającym go najmniejszego wrażenia. Wielkolud niósł chło-

paka przed sobą i przyspieszając kroku, schodził z pagórka ku pobliskiemu lasowi.

– Marama, stój! – skrzeczący krzyk Gościchy, niespodziewany a głośny i wyraźny, osadził na miejscu rozbójnika.

Rozejrzał się i nie od razu zobaczył starą, bo pochylona nad laską, była prawie niewidoczna między wysokim zielskiem.

– Stój, bo pożałujesz! – powiedziała groźnie i ruszyła ku niemu chwiejnym krokiem, utykając.

Roześmiał się.

– Nie dogonicie mnie, babko – mruknął, ale nie poszedł dalej.

– Moje zaklęcie cię dogoni.

Marama podniósł dziecko wyżej, odwracając jego twarz ku światłu. Jeny nadal wyrwał się ze wszystkich sił i zbój musiał walnąć go pięścią po plecach, żeby się uspokoił.

– To mój chłopak – powiedział Marama do Gościchy, która była już o kilka kroków. – Poznaję po tych przeklętych oczach.

– Oddaj go – zażądała. – Teraz on mój.

– Odkupię – oznajmił Marama. – Dam dużo więcej niż wy mnie kiedyś.

– Nie jest na sprzedaż. Nikt ci nie kazał go sprzedawać, sam do mnie przyszedłeś. Jest mi potrzebny do roboty. Puść go i ruszaj swoją drogą.

Rozbójnik roześmiał się ponownie. Gościcha wyglądała znacznie gorzej niż przy poprzednim spotkaniu. Skurczyła się, pochylała. Pewnie i sił jej ubyło. Marama nie zamierzał łatwo rezygnować. Nie po to stracił przecież tyle czasu, idąc ich tropem, żeby teraz odstąpić od swoich zamiarów.

– Wcale się was nie boję, – powiedział zuchwale – ale nie chcę się

z wami próbować. Po dobrej woli proszę, byście mi go zwrócili. Dobrze zapłacę. Co wam po nim? Jeszcze rok czy dwa i sam ucieknie, a wy go nie upilnujecie. Starzy jesteście, babko. Macie już pewnie ze sto lat...

– I cztery – uzupełniła Gościcha.

– Właśnie. Ani chybi wkrótce zemrzecie gdzieś po drzewem. Wtedy chłopaka i tak znajdę.

Taka możliwość najwyraźniej nie bardzo podobała się staruszce.

– Już ci mówiłam, żebyś trzymał się od niego z daleka – przypomniła. – Jak nie posłuchasz, gorzko pożałujesz.

– A ja wam mówiłem, żebyście mnie nie straszili. Kiedy on taki groźny, od razu trzeba go zabić. – Marama sięgnął do pasa po długi nóż.

Chwilę tę natychmiast wykorzystał Jeny. Uwolnił głowę, pochylał ją i z całych sił ugryzł rozbójnika w przedramię. Marama wrzasnął, wypuścił nóż, chwytając zdrową ręką bolące miejsce. Ale Jeny już wysliznął się z jego objęć i już popędził pomiędzy trawami.

Marama zaklął, a Gościcha zaśmiała się cicho.

– Uprzedzałam cię – powiedziała z zadowoleniem. – Zbieramy tu zioła, bo właśnie dojrzały przy pełni księżyca. Ale tobie nie pomogę. Może będziesz miał szczęście i nie umrzesz od zębów chłopaka.

– Zabiję bachora! – pinił się Marama. – Znajdę i ubiję jak psa!

– Trzeba było słuchać, jak cię ostrzegałam. Po coś go zabierał z lasu? A teraz odejdz stąd, bo muszę skończyć swoją robotę.

Nie ruszył się z miejsca, nadal obmacywał pogryzioną rękę, więc dodała:

– Ostatni raz mówię, Marama. Za chwilę księżyc się skryje. Jeśli do tego czasu nie schowasz się w lesie, zamienię cię w jaszczurkę.

Odwróciła się i podreptała w kierunku skały. Marama odszukał nóż w trawie, włożył go za pas, a potem, przeklinając, oddalił się pospiesznie. (...)

DWIE SIOSTRY

Alina i Balbina mieszkały na odludziu w wielkim lesie. Do najbliższego miasteczka trzeba było jechać motocyklem dwa dni. W tych czasach ciężko było o kanister benzyny, więc rzadko bywały wśród ludzi. Skazane przez los na siebie żyły jak te pustelnice, wypełniając czas pracą przy ulach i na plantacjach poziomek. Obie młode i dorodne, aż hormony tryskały z lic. Pewnego razu za antał miodu kupiły od wędrownego handlarza kopyrkę genetyczną domowego użytku. Nie był to najnowszy model, lecz nadal na chodzie. Sprzęt pochodził z demobilu i służył do powielania żołnierzy, którzy masowo ginęli na wojnie. Po drobnych przeróbkach produkowa-

wał mężczyzn w cywilu. Przystojnych, dobrze zbudowanych, pod każdym względem atrakcyjnych i pociągających. Krzepę mieli taką, że jak jeden chycił toporek, to i wiorstę lasu zrębał w jeden dzień. Dla samotnych i dziczących w kniejach sióstr wynalazek ten był darem Opatrzności i końcem panińskiego życia.

Obie skłonały sobie partnerów, w przerwie pomiędzy zbieraniem chrustu a smażeniem powideł. Spizarnia to romantyczne miejsce na spotkania... Jednakowoż równoczesne umizgi kłuły w oczy zazdrosną Alinę, której nic nie brakowało, ale jak to przyjemnie dopiec swojej bliźniaczce. Wpakowała więc podstępem niedoszłego szwagra do piekarnika i upiekła go jak królika na obiad. Balbina krojąc przysmażone ucho na talerzu

domyśliła się, że jej chłopak nie poszedł nad rzekę łowić ryby. Nazajutrz, nie zwlekając, zwabiła drugiego kłona do piwniczki i zabezpieczyła go w sztabach lodu. Długo w takiej lodówce nieborak nie wytrzymał. Siostry szybko wyrównały swoje rachunki. Obie wiedziały co zrobiły i gryzły je sumienie. Nawet do replik można się przywiązać. W gospodarstwie zrobiło się pusto. Pies wył za oknem. Zbliżała się jesień...

Na siostrzaną zawiść znalazła się rada. Po odpowiednim nałożeniu klisz genomów, sprawiły sobie dwóch chłopów w jednym, zrosniętych barkiem i udami. W ten sposób jedna drugiej nie mogła już zniszczyć partnera, gdyż był jakby wspólny, choć jakby osobny. Od tej pory wszyscy chodzili razem za rękę i spali w jednym wielkim łóżku.

BAJKI O PÓŁ-LUDZIACH

Sławomir Burszewski

AKUPUNKTURA

Dr Kaligula czuł się bardzo zmęczony. Nocny dyżur dał mu mocno w kość. Strajkujące pielęgniarki leżały pokotem w jadalni, ukradkiem zagryzając sucharki, a on – specjalista wysokiej klasy z dwudziestoletnim stażem, biegał koło łóżek, podawał kaczki, baseny, zakładał opatrunki. Do tego już doszło. Fakt, że jego wypłata jest równa sumie wypłat całego niższego personelu, lecz ta różnica jest kwestią prestiżu, a nie faktycznego wysiłku. Czuł się bardzo zmęczony i dodatkowo zmęczony. Jak to inni potrafią popsuć humor! Co będzie dalej? Czy zamkną szpital? – zadawał sobie pytania. – Może wymienię personel? Po co mu wygłodzona pielęgniarka? Dobrze odżywiona wydajniej pracuje. Nie, te problemy nie są na jego głowę. On tego nie załatwi. Niech myśli góra.

Znużenie nie ustępowało. Zafundował sobie saunę, lecz nic nie pomogło. Lampka koniaku także. Żona wyjechała na szkolenie farmaceutów do Szczecina, ma więc wolny weekend. Sięgnął po gazetę. Rubryka „zdrowie”.

„Chińska medycyna na miejscu u klienta. Szybko i skutecznie postawi cię na nogi. Tel. 352-666-296.”

Wystukał na komórce numer i zamówił usługę do domu. Po godzinie w drzwiach pojawiły się trzy atrakcyjne dziewczyny w sobolich futrach. Każda miała we włosach kwiat, a na twarzy wschodni makijaż. Taki znak firmowy. Przebrały się w łazience i przystąpiły do zabiegu. Dr Kaligula leżąc nago na dębowym stole w pokoju gościnnym nie mógł się opędzić od natrętne myśli o kłesce profesjonalnej medycyny w starciu z ludowymi

gustami zza wschodniej granicy. W pomieszczeniu rozniósł się zapach orientalnych kadzidełek. W ciele Kaliguli sterczał las igieł, rozmieszczony według jakiegoś sekretnego planu. Ich układ miał na pewno jakieś znaczenie. Coś o tym czytał. Dziewczyny bardzo mu się podobały, tym bardziej, że przechadzały się w skromnych bikini. Nie miał siły na fantazje erotyczne. Zasnęła. Przymknął oczy. Poczł odprężenie i błogostan. Różowe kręgi wirowały pod powiekami. Odlatywał...

Gdy obudził się rześki i zdrowy, pokój był już pusty. Dosłownie. Masażystki zabrały ze sobą co cenniejsze rzeczy (w tym pamiątki rodzinne sprzed stu lat) i wyparowały. Kaligula przejrzał się w lustrze. Na głowie, szyi i biodrach wisiały wianuszki kwiatów. Zawył jak zraniony łos i cisnął chińską wazą o ścianę. Tak to doktor poczuł energię. ■

Nazywam się Krzysztof. Krzysztof ... (Cholera! Zdaje się, że już ktoś tak zaczynał. Tylko, że tamtemu było James). zresztą, nazwisko może być różne. Więc niech będzie Neus. Krzysztof Neus. Polak z dziada pradziada i z krwi i kości.

Gdy zaproponowano mi napisać kilku słów o sobie, nie sądziłem, że będzie to takie trudne.

Ludzi można podzielić na różne sposoby. Są biali, czarni, żółci i popielaci. Są inteligentni i tacy, którzy z tym przymiotnikiem nie mają nic wspólnego. Są porządni i cwaniacy. Są bierni, a podobno też i tacy, którym „coś w duszy gra” i to granie przelewają na nuty, obraz lub zwykły biały papier. A mnie czasami tak bębni, że aż uszy trzeba zatykać. Na szczęście, tylko czasami.

To nawiązanie do muzyki bierze się chyba stąd, że przez 25 lat byłem klezmerem. Grałem dopóki „panny Walercie”, „babcie, co im przepijali cały domek” i „dziewczyny z Albatrosa – sztuk siedem” nie zaczęły śnić mi się po nocach. Wtedy miałem dosyć. Ale gitara, stary sfatygowany kumpel, dalej stróżuje u wezgłowia mojego łóżka.

Kiedy to się zaczęło? Trudno powiedzieć. Chociaż... pamiętam, że kiedyś w młodości powiedziałem, że teraz będę pracował, a na starość zacznę pisać książki. I nawet nie dochodziłem wtedy, czy to jest wiara, czy tylko nadzieja. Wlazło to jakoś we mnie wtedy i jest. Jak nieodkryty pewnik.

Kiedyś byłem na filmie, który miał być – jak zapewniała reklama – super sensacyjny, super szpiegowski, super ciekawy, a on był tylko super zagmatwany. No, chyba, że był on dla super inteligentnych, bo ja nie zrozumiałem w gruncie rzeczy nic: ani kto strzelał, do kogo, ile razy, z czego, czym i najważniejsze po co? To chyba wtedy Pan Bóg kopnął mnie w plecy i powiedział: bierz się stary do roboty, przecież potrafisz to zrobić lepiej. I tak starałem się zrobić. Aby wszystko miało swój sens, początek i koniec. Było prawdopodobne, przewidywalne i logiczne. Lubię mieć jednego bohatera, by móc wchodzić w jego duszę i szperać w nich... Bo zwykły człowiek ma dwie dusze – diabelską i anielską, a porządny Polak nawet ma trzecią – koalicyjną. Nie lubię zabijać, nawet na kartach książki. Jednak w tego typu litera-

turze jest to raczej element nieodzowny, więc nawet ci papierowi niech mi wybaczą.

Jak się zaczyna? Normalnie. Bierziesz, człowieku, ołówek (najlepiej tępy – bo gdy go ostrzysz, to jakbyś już zaczynał coś tworzyć), kartkę papieru – najlepiej czystą i... czekasz. Przyjdzie to cholerne natchnienie, ta cała wredna wena twórcza, czy nie? A ono w zakamarkach twojej duszy błądzi gdzieś, gra z tobą w kotka i myszkę, drażni się, droczy, przekomarza i wyłazi czasami w najmniej oczekiwanych momentach. Dlatego moje pierwsze szkice są zawsze bardzo zabazgrane i pisane na różnej wielkości papierach i papierzyśkach. Ten arsenał mam dosyć szeroki. Od twardej tektury po rozzerwane opakowanie po papierosach. Papieru toaletowego nie używam tylko z racji jego zbytnej miękkości. Ale miejsce, gdzie się go używa, jest czasami wspaniałe!

Jaki ze mnie człowiek? Najogólniej mówiąc – normalny. Średni i szary – czyli zwykły.

Stan bieżący? – Malutka firma remontowo-budowlana.

Za co dziękować? Tak ogólnie? Że Pan Bóg zrobił mnie optymistą.

Czego żał? Tak po prawdzie tych wszystkich pochowanych po szufladach przez dobrych ludzi wierszy, pamiętników, wspomnień. One tam czekają, pożółkłe z tęsknoty, opuszczone, jak stojące na bocznicach stare parowozy. Ale wystarczy pod nimi rozpaścić ogień, a pojadą, zabiorą gapowiczów i pasażerów w szaloną podróż przez czas... i może znajdą wreszcie swoją stację. Bo szuflady nie umieją czytać.

A wszystko powstało jakieś dziesięć lat temu. Po cichu i skrycie. Jakbym kradł z głodu świeże bułki w sklepie. Niby moralnie uzasadnione, a karalne. Ta moja karalność dotyczyła wstydu i śmieszności. Czy to co piszesz ma jakiś sens? Czy mieści się w obszarze między grafomanią a Szymborską? I to jest chyba najtrudniejszy płótek do pokonania. Te, dla każdego inne, dwa dwadzieścia cztery – jak śpiewał Wysocki. Ale to jest tak, jak z życiorysem pisany własną ręką, zawsze jest niepełny – brakuje w nim daty śmierci.

A co jest? Nadzieja. Niedawno Pan Bóg znów mnie walnął w plecy.

Krzysztof Neus

PĘTLA ZACISKAŁA SIĘ CORAZ MOCNIEJ.

Mężczyzna siedzący za sterami samolotu usilnie próbował odciągnąć ją palcami od swojej szyi. Miał zero szans. Rzemień był cienki i mocny. Wrzynał się głęboko w ciało i na zewnątrz wystawał tylko wąski, ledwo widoczny pasek. Twarz pilota powoli nabrzmiewała stając się czerwienią, by kilka sekund później przejść w ciemniejszy fiolet. Oczy zaszele krwią coraz bardziej wychodziły z oczodołów, jakby nagle zapragnęły opuścić swoje przytulne, wygodne i stałe miejsce. Ze ściśniętego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Nie miał prawa. Do wydania szeptu potrzebny jest chociażby minimalny strumień powietrza, a to, zatrzymane w płucach, już zatrute dwutlenkiem węgla, w żaden sposób nie mogło wydostać się na zewnątrz.

– Puść go do cholery! – nie wytrzymał człowiek siedzący na fotelu obok.

Cztery naszywki biegnące wokół rękawów jego lotniczego munduru nakazywały niekwestionowany respekt, jednak na mężczyźnie, do którego przemówił nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Zrób tak, jak ci powiedziałem. Niczego nie dotykaj. Podnieś się i stań grzecznie koło drzwi.

Kapitan jeszcze raz spojrział na swojego drugiego pilota. I tym razem patrzył krótko. Nie lubił żebraczych spojrzeń, a oczy tamtego tylko to wyrażały.

Skołowane nagłym zdarzeniem myśli nie zdążyły się jeszcze pozbiierać, by poddać analizie zaistniałą sytuację i podjąć jakąś w miarę rozsądną decyzję. Nie były przyzwyczajone do komputerowego tempa. Jedyne instynkt mógł mu pomóc, ale ten, tłamszony przez lata jednostajnym treningiem, leżał gdzieś cicho w zakamarkach jego mózgu i ani myślał w jakikolwiek sposób przypominać mu o swoim istnieniu.

– I co miałem robić do cholery! Co robić! – powtarzał sobie co chwila. To jedno zdanie przewijało się w jego myślach z mocą i regularnością ude-

rzeń serca w spiszowy dzwon, gdy ileś tam setek kilometrów stąd, w jego miasteczku dzwonili na Anioł Pański.

Sterroryzowany pistoletem przez Szczuplejszego nie śmiał przekręcić nawet śrubki, nie mówiąc już o uruchomieniu pokładowej radiostacji i wysłaniu jakiegokolwiek sygnału. O innych, bardziej bohaterских czynach nawet nie marzył. Na nowego radiowca przestał liczyć prawie natychmiast. Pierwsze, inne od normalnych, dźwięki jakie usłyszał – zanim zobaczył tamtych dwóch i wycelowaną w siebie broń – dotyczyły właśnie jego osoby. Najpierw przytłumiony stuk, potem jęk, a na końcu łoskot walącego się bezwładnie ciała. To były właśnie te dźwięki. Jest niemożliwe, aby człowiek po uderzeniu kolbą w głowę w ciągu kilku sekund przyszedł do siebie, reagując przy tym na otoczenie jak ktoś całkiem normalny. Toteż „radio” odpoczywał zwinięty w kłębek pod pulpitem swojej aparatury i ani mu w głowie była zabawa w Jamesa Bonda. Więcej swoich ludzi w kabinie nie miał. Trudno mu było uwierzyć, aby mechanik, który wyszedł pięć minut temu, pojawił się nagle i zburzył ustalony przez tych dwóch scenariusz. Jedno uzmysłowił sobie bardzo szybko – tamten nie nabrał powietrza na zapas, a to, które było w jego płucach na pewno nie nadawało się już do dalszego użytku.

Pętla zarzucona błyskawicznie przez Grubasa, zaciskała się powoli, lecz ciągle, stając się swego rodzaju niewidzialnym stoperem, który odliczał tamtemu drogocenne sekundy z czasu brakującego do śmierci. A przecież zwleka tylko chwilkę – może dziesięć, piętnaście sekund. Zresztą czas w takich sytuacjach pędzi jak oszałała lokomotywa, której mechanik włączył pełny gaz, a sam wyskoczył w biegu.

– Nie ma wyboru. Musi się zgodzić... I to szybko – przebiegło mu przez głowę.

Spojrzał jeszcze raz w lewą stronę. Wzrok tamtego dawno już przestał

szukać jakiegokolwiek ratunku. Wyrażał tylko przeogromny strach i ból nie mogących opróżnić się płuc. Zacisnął mocniej szczęki – wiedział, że przegrał.

– OK – rzekł tylko.

Lecieli na autopilocie. Maszynie nic złego nie mogło się stać. Jej było obojętne kto ją prowadzi – człowiek czy automat – byle wszystko układało się według normy. Odruchowo sprawdził jednak wskazania przyrządów, a potem zaczął podnosić się z fotela.

– Dobra, a teraz stań koło drzwi... i bez wygłupów. – Człowiek z pistoletem w ręce wskazywał mu kierunek – Pamiętaj, że zanim kula przedziurawi kabinę, najpierw rozbebeszy ci brzuch. Koniec żartów.

Teraz dopiero instynkt dał znać o sobie. Czuł przez skórę, że tamten nie żartuje. Z takim typem ludzi zetknął się po raz pierwszy w życiu, ale prawdę powiedziawszy, zawsze do tej pory sądził, że istnieją oni w sensacyjnych filmach, komiksach czy podobnych powieściach. Ci, widocznie, zmaterializowali się, bo istnieli naprawdę. To nie szaleńcy o rozbieganych oczach, których byle szelest wyprowadza z równowagi. Ci byli zimni, wyrachowani i dobrze wiedzieli po co tu przyszli. Nie wykonali żadnego niepotrzebnego ruchu, żadnego gestu czy spojrzenia, które nie miałyby swojego logicznego uzasadnienia. Zachowywali się jak faceci z kieszeniami pełnymi zielonych banknotów w najlepszej restauracji. Przyszli, zażyczyli sobie posiłek i czekali, wiedząc że niemożliwym jest, aby ich polecenie nie zostało wykonane. To byli zawodowcy w każdym calu i zapewne nie pierwszy raz robili coś takiego. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Bez dalszych oporów stanął koło drzwi.

– Puść go, Steve – odezwał się ten znów z pistoletem.

Olbrzym o imieniu Steve albo nie dosłyszał, albo udawał głuchego. Z sadystycznym uśmiechem przylepionym do tłustej twarzy wciąż docis-

kał swoją pętlę, pomagając sobie teraz kolanem opartym o tył fotela.

– Steve!

– He... już... puszcza – cedził wolno Grubasa, jakby chciał zyskać jeszcze ułamki sekund jemu tylko wiadomej satysfakcji. Wreszcie wolno opuścił kolano i poluzował pętlę. Głowa drugiego pilota bezwładnie opadła na tył fotela. W miejscu, gdzie wrzynał się ramię pojawiła się krew.

Nikt z nich nie był lekarzem, ale jedno spojrzenie na siną, nabrzmiąłą twarz wystarczało za wszelki diagnozy. Był martwy.

„Radio” powoli dochodził do siebie i po przebudzeniu pierwsze co go uderzyło, to wyraz twarzy Grubasa. Wydawało mu się, że po tym co zrobił niczego ludzkiego w niej nie było, a przynajmniej niczego takiego nie mógł się w niej dopatrzeć.

Z trudem dźwignął się z podłogi i stanął koło kapitana. Oprawca spojrział na swoją ofiarę, robiąc przy tym minę rozkapryśzonego dzieciaka, któremu nie udało się głupi kawał.

– Szefie, chyba za mocno go przycisnąłem. Zdaje się, że duszyczka z niego wyparowała.

Po tym wyjaśnieniu rozejrzał się po kabinie i, jakby trochę zdziwiony brakiem choćby imitacji uśmiechu, który – jego zdaniem – powinien pojawić się na twarzach pozostałych, chyba na pocieszenie dodał:

– Pójdzie do nieba. Z tej wysokości ma bliżej, jak od ziemi.

Przez twarz mężczyzny nazwanego szefem przebiegł krótki, nerwowy tik. Nie odezwał się jednak ani słowem. Strzyknął tylko śliną przez zaciśnięte zęby i skinieniem głowy kazał dwóm pozostałym ludziom z załogi samolotu opuścić pomieszczenie. Za chwilę szcęk klucza w zamku oznajmił, że są już dobrze zamknięci w niewielkiej klitce, tuż pod kabiną pilotów. (...)

Krzysztof Neus

Fragment przygotowywanej do druku powieści „Sekcja legalnych morderców”.

Prezentowane
opowiadania
pochodzą
z przygotowywanego
do druku zbioru
„Fiolet” Konrada
Ludwickiego

NATRĘT

Spotkałem Go zupełnie przypadkowo na jednej z ulic nieopodal sklepu z narzędziami do wyrobu frintków. Było pogodne niedzielne popołudnie i jak zawsze o tej porze szedłem do kawiarni na kawę i eklerka. Nigdy wcześniej Go nie widziałem i tym bardziej nie znałem. Wyglądał jak dżentelmen: starannie ogolony, w dobrze skrojonym garniturze, pachnący nienajgorszą wodą kolońską, o nieco mdławej woni. Zagadnął do mnie, ja zaś – z czystej kurtuazji – odpowiedziałem coś na odczepnego. Mężczyzna robił specyficzny tik ustami i dalej prowadził rozmowę, lub raczej monolog, ja zdawkowo przytakiwałem czekając aż odejdzie. Był miły, wprost

szarmancki, niemniej emanowała od niego jakaś złowroga, nieokreślona energia. Jeżeli miałbym porównać go do zwierzęcia, najbardziej przypominał napuszonego indyka. Po trzydziestu minutach wolnego marszu stanęliśmy przy bramie mojej kamienicy.

– Tu mieszkam – rzekłem, wskazując ruchem głowy oficynę – żegnaj pana. Grzecznie acz stanowczo podałem mu dłoń. Uśmiechnął się kpiarsko. Na klatce odetchnąłem, byłem sam. Otworzyłem drzwi mieszkania. Mój „znajomy” z ulicy siedział na środku przedpokoju! Wciąż śmiał się ironicznie, podszedł do mnie i poklepał po ramieniu.

– Zawsze już będziemy razem. Zawsze! – odparł uradowany.

LIST

Z determinacją – mimo obiadowej pory – szukałem w szufladzie kluczyka od skrzynki, w której dziś przed południem zobaczyłem białą kopertę listu! W szufladzie było wszystko: stara klisza do aparatu (17 DIN), pęknięte lustro, pamiętające jeszcze czasy pierwszej wojny, tępe ołówki kopiowe, pożółkłe bilety do opery, niedopalona świeczka... gdzież on się zapodział, u licha?! Nerwowo przewracałem wszystkie przedmioty. Jest! Jest, wraz z breloczkiem Matki Boskiej Szkaplerznej,

który kupiłem w Cermnej, gdzie siedem lat temu byłem z przyjacielem na pieszej wędrówce.

Niestety nie mogę otworzyć skrzynki, kluczyk pokrywa lekka rdza (od dawna go nie używam – rzadko kiedy otrzymuję korespondencję), jego końcówka jest nieznacznie zakrzywiona. Szarpnię stanowczo małą metalową klapkę, kaleczę przy tym mały palec prawej dłoni. Udało się! Sięgam po pocztę. Plamię krwią białą kopertę, lecz to jedynie telegram od wujenki zawiadamiający mnie o śmierci i bliskim pogrzebie stryja. Zmarł na suchoty. Pamiętam go dokładnie, jego kaczy chód, łysinę i ciągły odór alkoholu.



Judyta Bernaś
„Tryptyk na koniec wieku”
(fragment) – 1999/2000 r.,
technika mieszana

POSTAĆ

Maj tego roku był odpychający. Aura obmierzła. Po raz kolejny wyjrzałem przez okno, odrywając się na moment od lektury Hawkinga. Nadal stał! Mimo później pory, ulewy i chłodu stał w tym samym miejscu. Sterczał już dobrą godzinę, bez ruchu, wyprostowany, zapatrzony w dal – niby żołnierz na posterunku. Było ciemno. Jedyne jego mroczna postać w strugach deszczu i trzepak zaraz obok.

Po kilkunastu minutach ponownie podniosłem zasłonę, łagodnie i bezszelestnie, jakbym chciał go podglądać. Burza rozszalała się na dobre – błysnęło, co pozwoliło mi jeszcze dokład-

niej zobaczyć to, co już znałem. Sceneria bez zmian: nieruchoma osoba, deszcz, trzepak. Nie wytrzymałem. Zbiegłem po schodach. Na pół piętze leżał bezdomny, wtulony w wycieraczkę, spał niewinnie i cicho chrapał.

Powietrze było wilgotne. Szedłem w kierunku stojącej postaci. Na mój widok jegomość zdał się poruszyć. Podszedłem bliżej. To była młoda kobieta! Wisiała na własnych rajstopach przytwierdzonych do górnej krawędzi trzepaka. Dygotała. Miała otwarte oczy i faktycznie ślepo spoglądała w dal; była sina, język wystawał jej z ust pomalowanych na kolor karminowy, na dolnej wardze widniał biały, kredowy osad.

DROGA

Tadeusz Gieryski

Do miasta prowadziła szosa, zwirowata i żółta. Była wysadzana drzewami, głównie topolą i wiązem. Traktowi towarzyszyła wąska, ale udeptana ścieżka dla pieszych i rowerzystów. Latem sześciokilometrowa odległość dla chłopaka w moim wieku nie była duża. Przemierzałem ją nieraz dwa razy dziennie. Niedaleko od domu szosa wchodziła w świerkowy zagajnik, który łączył się z ciemnym i gęstym lasem liściastym. Gdy minęło się zagajnik, następowała otwarta przestrzeń, z rzadka wypunktowana chłopskimi zagrodami. Tutaj teren robił się falisty, a i szosa zaczynała meandrować. Prostowała się jednak przed miastem i jak żołnierz defiladowym krokiem wchodziła w pierwsze parterowe zabudowania peryferii. Na tym odcinku rosły najwyższe drzewa. Na rogatce była piekarnia, naprzeciwko – sklep spożywczy. Tutaj raz w tygodniu odbierałem kartkowy chleb, marmoladę i inne spożywcze dodatki.

Dużo ciekawych rzeczy można było zobaczyć podczas marszruty. Na wielkim, przydrożnym dębie dokazywała płoworuda wiewiórka i wrzeszczała kolonia szpaków. Spod świerka wyprysnął zając i pomknął w wysokie trawy. Z wilgotnej zieleni wyrzała nieraz sarna, by po ułamku wieczności popłynąć z powrotem w gąszcz. Gdzieś w połowie drogi do brzegu szosy podchodziły lany zboża, zaniebieszczone chabrem, rozczzerwienione plamami maków.

Podróżnych na szosie nie spotykało się wielu. Niekiedy przewlokła się furmanka. Jeszcze rzadziej przeleciał samochód podnosząc z ziemi ceglasty kurz. W dni targowe ruch był znacznie większy. Ciągnęły wtedy do miasta sznury furmanek wymoszczonych sianem i słomą. Na targ wieziono warzywa, żytnią mąkę z otrębami, jaja, nieraz drób. Od wielu zaprzęgów dochodził kwik prosiąt. Ale zakolczykowana nierogaczna odstawiana była wyłącznie Niemcom. Zresztą żandarmi zaczajali się często na rogatce i opróżniali chłopskie pojazdy do ostatniego jajka przymyślnie, a bezskutecznie zagrzebanego w słomie. Nie było to przecież regułą. I prawda, że resztki z chłopskiego stołu utrzymywały przy życiu miasto.

Zimą droga stawała się trudniejsza. Zwłaszcza, gdy ziemię pokrył gruby śnieg i rozhułały się lutowe zamiecie i zadymki. Wtedy droga znikła pod zaspami i nawet drzewa stawały się w tej oćmie niewidoczne, choć słycać było, jak w odartych z listowia konarach świstał wiatr i spychał idącego do rowów, gdzie wpadało się w śnieg po pas. Był to okres w moim życiu, kiedy najwięcej czytałem. Pożerałem książki bez ładu i składu, byle więcej i więcej. Czytałem całymi dniami, wieczorami, nocami, przy wątłym płomyku karbidówki, gdyż nafta była dla nas za droga. Sypiałem w jednej izbie z młodszym rodzeństwem, więc osłaniałem karbidówkę, żeby światło padało tylko na książkę i nie przebudziło pięcioletniej siostry, a tym bardziej, żeby moich lektur nie zauważyła, broń Boże, matka. Czytanie przy migocącym płomyku szybko wyczerpywało wzrok. Odkładałem wtedy książkę i patrzyłem w okno. Gdy noc była jasna, widziałem rozciągający się tuż za oknem ogród i dalej – ciemną ścianę lasu, pełną tajemnic i lęków.

Biblioteka w S. znajdowała się w pobliżu kościoła o bazylikowatej kopule. Z głównej ulicy, przez wąski zaułek, między zawsze zawilgotnionym murem, wychodziło się na obszerne, wybrukowane podwórze. Na wprost widać było kolorową reklamę kina „Lotos” (dawniej „Legionista”), a po prawej stronie, w długim, murywanym, choć parterowym budynku mieściła się „biblioteka”. Okna były niskie, prawie dotykały ziemi, nie miały krat, lecz żółte okiennice, które otwarte wyglądały z daleka jak skrzydła olbrzymich motyli.

Biblioteka była dla mnie wyjątkowym miejscem. Wstępowałem w jej progi jak do raju, oczy biegały po regałach uginających się od książek, regałach wysokich, sięgających pułapu. Z przyjemnością wciągałem przez nos swoisty zapach starych druków. Nie wiem, jak było gdzie indziej, lecz w miejscowości S. biblioteka funkcjonowała całą okupację. Niemcy dokonali tylko pobieżnej selekcji. Pozostał cały Kraszewski, Przyborowski i inni autorzy książek historycznych. Przeżywałem tu wielkie, chłopięce wzruszenia. Ale zawsze wychodziłem stąd trochę zawiedziony. Przepis nie zezwalał wypożyczyć więcej niż jedną książkę. Więc brałem jedną. Podniecony treścią, której nie znałem, ale którą przeczuwałem rozpalającą się wyobraźnią, już za drzwiami księżnicy przyspieszałem kroku, byle prędzej wydostać się z miasta. Potem przysadałem z książką w przydrożnym rowie, albo na miedzy pośród zboża lub na rozgrzanym piasku w świerkowym młodnia-

ku. Bywało, że wdrapywałem się z książką na drzewa. Tam wysoko, między niebem a niewidoczną z góry ziemią, czułem się najlepiej i najbezpieczniej. Miałem takie ulubione drzewo. Był to dąb-olbrzym, drzewo królewskie, potężne, górujące nad wszystkimi innymi, o grubych, rozłożystych konarach, gdzie czułem się jak na okręcie żeglującym przez ocean nieba i szemrzącą zieleń. Oderwany, w przenośni i dosłownie, od przyziemnych spraw, tym łatwiej poddawałem się urokom lektury aż do całkowitego pogrążenia w jej gęstej inności. Gdy po godzinie, dwu zeskakiwałem na ziemię – byłem trochę smutny. Jak ludzie, którym skończyła się dziwna i piękna podróż. Bywało, że zanim doszedłem do domu, a książka nie była gruba – doczytywałem ostatniej stronicy. Perspektywa drugiej połowy dnia wydawała mi się pusta. Więc po obiedzie (cóż to były za obiady! Ojciec wciąż nie pracował, matka wyprzedawała ostatnie sprzęty i pamiątki rodzinne.) wyprawiałem się znowu do miasta, przynagając się, żeby zdążyć do biblioteki przed osiemnastą. Namiętną prośbą udawało mi się zwykle wyzebrać drugie wypożyczenie. Najłatwiej ulegała mi stara pani o siwych włosach i wszystko widzących oczach, podobna do Elizy Orzeszkowej z ostatnich lat życia.

Na takie podwójne wyprawy do miasta nie mogłem sobie pozwolić zimą, gdy spadł śnieg i z dalekich stron, od wschodu, gdzie wówczas zmagaly się dwie potęgi, dmuchał mroźny, lodowaty wiatr. Moje zimowe okrycie było skromne. Ot, szynelek przewiewny, krótki, przerobiony z ojcowskiej marynarki. Wypożyczałem więc najbardziej grube tomiska, żeby starczyły mi na dłużej.

Jednakże i aura zimowa niezdolna była zmóc mojej czytelniczej niecierpliwości. W drodze powrotnej wygrzebywałem w śnieżnej zaspie taką norę-osłonę, w której kuciałem z książką w rękach. Ręce marzły i miałem trudności z odwróceniem karty. Wicher świstał, zawodził, od czasu do czasu zawiewał z nieosłoniętej strony, dusząc tumanem śniegu, który sypał na otwarte karty. Pamiętam, kiedyś podczas takiej zawieruchy, gdy świat zniknął, a w jego miejscu wyrastały białe, wirujące słupy, pod moje „igloo” przykicał zając i wygrzebawszy jamkę, zapadł w nią. I tak trwaliśmy obok siebie w środku szalejącej śnieżycy: ja zajęty powieścią z epoki Dyrektoriatu, on – rozmyślający pewnie nad swym nienajlepszym zajęczym żywotem.

Tak żyłem czerpiąc wiedzę o życiu z książek. Nie było to może najgorsze dla wyrastającego

z dzieciństwa, ale wciąż jeszcze dziecka. Rzeczywistość dookoła była jasno okrutna. Nie chcę powiedzieć, że całkiem w niej nie uczestniczyłem. Widziałem jak wróg zabił mojego przyjaciela (też miał 11 lat) i zabitego wrzucił do studni na rynku miejskim. Widziałem powieszonych z kredą w ustach, słyszałem (słyszę do dziś) głosy tych, którym zadawano ból ponad ludzką wytrzymałość. Przenosiłem za pazuchą lub w torbie pod warstwą kartofli tajemne przedmioty, liczyłem wraże samochody i transporty kolejowe. Ale przede wszystkim czytałem, dużo zachłannie, w gorączce i opętaniu.

Świat książek – i świat żywych i umarłych. Czy te dwa światy miały się nigdy nie zetknąć?

Minęła zima, nastała wiosna, która, jak zawsze w czasach wojny, była absurdalnie piękna pięknnością wyraźną, soczystą, szaloną, nie liczącą się z niczym. Za moim oknem, w sadzie, kartłowate, ale owocodajne jabłonie w jedną noc okryły się białoróżowym kwiatem. Skończyłem wówczas czytać Dumasowski cykl powieściowy o dojrzewaniu i przebiegu wielkiej rewolucji francuskiej, po czym Parandowskiego „Niebo w płomieniach” wstrząsnęło moim wiotkim światopoglądem. W domu natomiast bieda była wyraźniejsza. Buraczana marmolada, czarny jak nieszczęście, ale pyszny, kawał kartkowego chleba, herbata z przypalonego cukru, dosładzana sacharyną. Zaś ojciec z uporem maniaka rysował wciąż nasz zastępczy dom. Rysował każdą dachówkę z osobna i dokładnie. Zabierało mu to sporo czasu. Tylko matka, której pewnego dnia zniknęła z palca ślubna obrączka (ojciec się denerwował, ale przekonany nadrzędną racją zaraz powrócił do swego szkicu), w swej matczynej zapobiegliwości przynosiła niekiedy ze wsi kilka jaj, garnuszek mleka, parę główek cebuli.

Mijał czas opuchły wiosną i wiadomościami z frontu wielkiej wojny. Któregoś dnia nie miałem szczęścia w bibliotece. Otrzymałem książkę, którą jak zwykle zacząłem kartkować zaraz po wyjściu. I okazało się, że już ją czytałem. Biada! Zniechęcony wlokłem się do domu. Było południe. Przeciąłem na skos rynek, przy którym stał zabytkowy ratusz, świeżo otynkowany na kremowo. Odwróciłem głowę od kamiennej studzienki. Jak zwykle na swoim miejscu siedział inwalida w wojskowym, zniszczonym mundurze i jak zwykle zachwalał jakiś rewelacyjny środek do wywabiania plam, aspirynę Bayera i węgierską sacharynę. Wiejska kobieta trzymała pod pachą wyrrywającego się koguta. Wpadła do po-

bliskiej apteki, gdy spostrzegła idących z ulicy Batorego dwóch żandarmów z blachami na pierśiach i automatyczną bronią zawieszoną u ramion. Ale przeszli obojętni, marsowi, wyniośli, tłukąc o kamień podkutą podeszwą i skierowali się do wyszynku Kleczkowskiego „Pod orzechem”. W otwartym oknie restauracji siedział żołnierz Wehrmachtu z plecakiem na ramionach. Na drzwiach knajpy koślawy afisz zachęcał do odwiedzenia kina, gdzie wyświetlano „Tajemnice Angkory”. Przy magistracie pod megafonem stała grupka ludzi. Dochodziła dwunasta. Czekano na wiadomości głównej kwatery Führera podawane w języku polskim... Dalej szedłem wąską ulicą Rawską, obudowaną drewniakami. Były pomalowane na brązowo, żółto i ciemnoniebiesko. Niektóre domki miały werandy. W oknach begonie, mirt, różowe kaktusy, czerwone, kielichowate petunie. Potem minąłem z daleka szare, a groźne bloki koszar i już byłem za miasmem.

Robiło się coraz goręcej. Kroczyłem wolno, niezadowolony, z wewnętrzną dezaprobatą. Po godzinie, półtoje dotarłem do świerkowego zagajnika i dla cienia skręciłem w las. Właśnie wtedy usłyszałem strzały. Trzasnęły sucho, niegłośno: jeden, potem jeszcze dwa. Z głębi lasu. Instynktownie cofnąłem się na szosę. Do domu miałem około pół kilometra. Wahałem się. Jednak dziecięca ciekawość zwyciężyła lęk. Z powrotem idę w las. Przedzieram się najpierw przez szkółkę młodych świerków. Idę ostrożnie, czujnie. Kolce jeżyny drapią skórę na rękach i gołych nogach. Co chwila przystaję, patrzę, nasłuchuję. Nic, tylko bezgłośnie śmignie spod nóg jaszczurka, by zniknąć w trawiastym poszyciu. Wydostaję się z zagajnika, przebiegam leśny dukt. Jestem teraz w prawdziwym borze: wysokopienne drzewa – modrzewie, dęby buki, cicho szemrzący leśny strumyk. Puka dziecięć z dokładnością zegarka, gdzieś gruchają dzikie gołębie. Jest chłodnawo i mroczno jak w muzeum. Przykucam pod krzakiem jałowca i na nowo się skradam w kierunku skąd padły strzały. Dziecięca wyobraźnia zaczyna działać. Jestem trapezem, Indianinem, „bladą twarzą”. Zmiana masek w tamtym wieku jest łatwa. Stopniowo rozmazuje się rzeczywistość, uniewyrażnia, zaczyna dominować żywioł zmyślenia, zabawy. Nie byłem już pewny, czy rzeczywiście słyszałem strzały, może rozbrzmiewały tylko w mojej głowie? Las jest groźny, wciąż groźniejszy, ale to ja kreuję tę groźbę wymyśloną, udaną, którą mogę w każdej chwili rozwiązać, choćby głośnym śmie-

chem. Teraz wciąga mnie w las tylko zabawa. Jak łatwo w wyobraźni przenieść się z Kanady do afrykańskiej dżungli na przykład, gdzie żyją goryle i Pigmeje! Oto podkradam się do koczowiska tych płochliwych istot. Trzeba to robić ostrożnie i mieć otwarte oczy.

Właśnie wtedy spotkały się dwa światy. Na piaszczystym wzniesieniu, pod dwiema bliźniaczymi sosenkami leżał człowiek. Instynkt, ten skrócony proces intelektualny, podpowiedział mi, że jest nieżywy, że strzały, które słyszałem, były wymierzone w niego. Dziwne, ale w sekundę odpłynęło ode mnie zaskoczenie i przerażenie. Rodziła się litość, nagła i czysta jak powstający kryształ.

Zabity leżał trochę na boku. Miał granatową marynarkę, drelichowe spodnie i jasne półbuty na gołych stopach. Tył szyi i kołnierzyk plamiły się krwią, która jeszcze nie zakrzepła, bo mokra, ciemna plama tworzyła się na grzbiecie marynarki. Kilka metrów przed leżącym mężczyzną zobaczyłem porzuconą na ziemi otwartą ceratową teczkę. Spojrzałem dookoła. Nikogo. Tylko wysoko na sosnach dalej gruchały gołębie. Postąpiłem naprzód i podniosłem teczkę. Była w niej jakaś zabrudzona ścierka, kawałek szarego mydła i książka. Bezwiednie otworzyłem ją. Książka miała tytuł „Ocalenia”, autor – Józef Conrad. Nie znałem ani powieści, ani autora. Obejrzałem się raz jeszcze i szybko wsunąłem tom do swej torby. Potem podszedłem do leżącego. Martwa, stężała twarz, rozchylone, lecz nieruchome usta. Żadna pomoc nie była mu potrzebna. Był już swoim przeznaczeniem.

W domu, dokąd pobiegłem zdyszany, opowiedziałem o moim odkryciu, zatajając tylko fakt zabrania książki. Dla pamiętających okupację opisane wydarzenie nie jest niczym niezwykłym. Śmierć była wówczas codziennym doświadczeniem, choć zawsze wstrząsającym. Rezydujący w miasteczku gestapowcy często wywozili skazanych do okolicznych lasów, żeby powrócić bez nich. Z reguły mieszkającym w pobliżu chłopom nakazywano po egzekucji zakopać zwłoki. Tak też się stało z ciałem, na które natknąłem się w lesie. Epilog dopowiedział kowal, którego zagroda leżała nieopodal miejsca zbrodni. Przybyli dwaj funkcjonariusze gestapo polecieli jemu i najstarszemu synowi udać się z łopatami na ową piaszczystą polankę... Ale kim był zastrzelony, tego się nikt nigdy nie dowiedział. Może schwytanym Żydem, albo członkiem ruchu oporu, którego po śledztwie postanowiono skrycie zgładzić?

Natomiast ja jeszcze pierwszego dnia dorwałem się do książki, której właścicielem stałem się w tak wyjątkowych okolicznościach. Odłożyłem ją dopiero nad ranem, kiedy przewróciłem ostatnią kartę. Książka wywarła na mnie silne wrażenie. Nie tylko dlatego, że fizyczny z nią kontakt wzbudzał we mnie nienawiść do wroga. Także z powodu owego osobliwego nastroju i klimatu moralnego, w jakim osadzone są prawie wszystkie Conradowskie powieści. Przez następnych

kilkanaście dni moje powroty z miasteczka S. do domu trwały dłużej niż zwykle. Niosłem przecież utwory autora, który zafascynował moją dziecięcą wyobraźnię i podbił mnie właściwie, mogę to powiedzieć – na całe życie.

W czasie tej pierwszej lektury Conrada często myślałem nad tym, dlaczego tamten człowiek aż do ostatniej chwili nie rozstawał się z książką. Czyżby wierzył w magiczną moc jej tytułu i wiązał z nim jakieś nadzieje na ocalenie?■

ZAPISKI O ŚWICIE

Jedna z aktorek, nagrodzona Oskarem w Los Angeles, płakała i śmiała się ze szczęścia, powtarzając wobec widowni: „Kocham cały świat!” Myślę, że naprawdę w owej chwili kochała wszystko i wszystkich, nie wyłączając nawet swych nieprzyjaciół. Zresztą kochać całą ludzkość najłatwiej. Najtrudniej pojedynczego człowieka.

Bardziej wyrafinowane, żeby nie powiedzieć: haniebne, są wypowiedzi naszych polityków, zaklinających się na wszystko, przed kamerami lub w radiu, iż s ł u ż ą wyłącznie n a r o d o w i. Jak służą – widać gołym okiem. I jak za tę „służbę” sami sobie płacą z pieniędzy narodu, też wiemy.

* * *

Forsycja najpierw zawróciła mi w głowie, potem oszukała. Gdy jechałem autobusem aleją Armii Krajowej, uderzył mnie w oczy jej intensywnie żółty, kobiecy kolor. Na tle dookolnej szarości migotała przez szybę jak kolorowa kometa z szafranowymi listkami. Nazajutrz podszedłem do buchającego żółcią krzewu. Okazało się, że forsycja nie ma liści, a te tysiące pszczoł, co obsiadły krzew, to miodowe kwiatki o czterech delikatnych płatkach. Odkryłem dla siebie jedną maleńką prawdę. Więc czyż powiedzieć mogę (jak często myślałem), że wiem już dużo? Znam tylko dźwięk kilku strun życia, ono ma ich nieskończoną ilość.

* * *

Gdy miałem 2-3 lata, mogłem swobodnie chodzić pod dużym, dębowym stołem. Pokój stołowy był duży i długi. Na jednej ze ścian wisiał artystycznej roboty krucyfiks. Intrygował mnie Człowiek przybity do krzyża, bolesna twarz, nagość. Często przypatrywałem się tej postaci. Chyba nie rozumiałem jeszcze znaczenia symbolu. Pewnego dnia zostałem w pokoju sam. Matka zajęta była w kuchni młodszym bratem. Stałem przy stole wpatrując się w krucyfiks. Nagle stało się coś niewyobraźnego.

Miniaturowa postać ukrzyżowanego zaczęła się poruszać, wyszarpywać ręce i nogi przygwożdżone do drewna, jakby chciała się uwolnić. Nagie ciało przebiegły dreszcze bólu. Oderwało się wreszcie od krzyża, osunęło na podłogę przybierając postać dziecka w moim wieku, w takiej samej barchanowej koszulinie, jaką ja miałem. Cofnęliśmy się pod stół i chwilę staliśmy obok. Naraz mój mały towarzysz znikł. Zapłakałem głośno albo krzyknąłem. Przybiegła matka, wzięła mnie na ręce. Drżałem, długo nie mogłem się uspokoić. Spojrzałem na ścianę. Krucyfiks wisiał na swoim miejscu, a ja opowiadałem, co przed chwilą się wydarzyło. Oczywiście, że mojej relacji nikt nie dawał wiary. Uważano, że był to sen albo przewidzenie, jakie się berbeciowi zdarza. Natomiast ja, przez bardzo wiele lat, niemal do dziś, wierzyłem w realność (a więc i cudowność) wydarzenia. Szaleństwo? Wariactwo? W każdym z nas jest trochę tego i tego. Trochę albo więcej. U mnie w opisanym przypadku – bardzo dużo. Poza tym jestem chyba normalny, z czego się znowuż tak bardzo nie cieszę. Normalność bowiem utożsamiam z nijakością.

* * *

Eutanazja i Seneka. Eutanazja w mediach (co drugi Polak „za”), Seneka w moich rękach. Wydanie z roku 1987 w przekładzie St. Stabryły. Młode, więc materialna strona książki nie interesuje mnie. I nie ma tej swoistej woni starodruku, ale sama treść „Myśli” („Sententiae selectae”) – uniwersalna i bardzo chrześcijańska. Nie bez powodu średniowieczny Kościół uważał rzymskiego stoika za świętego. W centrum uwagi myśliciela znalazły się wszystkie największe problemy, z jakimi borykała się ludzkość w jego czasach, i z jakimi boryka się dzisiaj. Nauczał w swoich pismach cnoty, w skład której wchodziły bardzo szlachetne wartości moralne. Poniósł jednak w działalności praktycznej osobistą klęskę. Był wychowawcą

Nerona. Usiłował mu wpoić swoją filozofię życia. Ale okrutne popędy cesarza wzięły górę. Ów tyran i zabójca własnej matki i żony wydał też wyrok śmierci na swego nauczyciela, który musiał (wraz z żoną) podciąć sobie żyły.

Czy samobójstwo Seneki możemy nazwać eutanazją?

W starożytnym Rzymie każdy polityk przy-partę do muru, wpędzony w ślepią uliczkę w krwawy, ale bezbolesny sposób przechodził do krainy cieni.

* * *

W parku spotykam Andrzeja i jego żonę. Pokazują mi nędzne teraz (połowa kwietnia) drzewko o rozłożystych, prostych gałęziach. Niepozorne, szare, martwe. Ma to być prawdziwa wiśnia japońska, która za miesiąc, półtora, pokryje się obłokiem białego kwicia.

* * *

Gdy mgła około południa rozpełzła się i pochowała za krzakami, zaczął nieśmiało, ale coraz wyraźniej przebijać cytrynowy krążek słońca. Różowe floksy otwierały ramiona dla światła. Ptaki ustokrotniły śpiew. Twarze ludzi zrobiły się nieco pogodniejsze, bo przedtem były powłóczyście, jakby szli na sąd kapturowy, aby wydać najsurowszy wyrok. Tyle radości z tak małego powodu? A może wielkiego? Może to cud? Codzienne przecież cudy nazywamy normalnością. A gdyby słońce nie wzeszło, zamilkły ptaki, kwiaty nie otworzyły kielichów i zaczął padać deszcz – to też byłby c u d i s t n i e n i a.

* * *

Tamten odległy czas stracił realność, przepłynął jak obłok. Tylko znajomość podstawowych praw natury każe sądzić, że kiedyś był teraźniejszością. Pamięć nie tylko utrwała, bardzo wiele gubi. Pozostaje ileś tam obrazów, jak filmowych klatek, dłuższych lub krótszych sekwencji, które jednak nie tworzą ciągłości logicznej, chronologicznej. W spójnym ciągu wydarzeń czas poczynił spustoszenie, pozostał album ze zdjęciami bez dat, miejsca, opisu okoliczności; trochę słów, gestów, wyrazu twarzy i oczu, smużki zapachu, nastroju. I jedna dłuższa sekwencja, gdy Halina Poświatowska oparła się o uliczną latarnię, żeby odpocząć i uspokoić zadyszka w drodze do Klubu Młodej Inteligencji. Szliśmy tam, aby wesprzeć (choćby moralnie) Władysława Gomółkę, z którym wiązaliśmy tyle złudnych nadziei.

* * *

Nieprawda, że poezja umarła, co od lat głosi Różewicz. Jej nigdy nie było. Była pycha, przemądrzałość, żonglerka. Istnieją tylko rzeczy, ludzie, ich czyny, drzewa, zarazki grypy oraz słowa, przez które oglądamy świat. Pogmatwany i prosty, prawdziwy i złudny. Logiczny i absurdalny. Toteż być poetą znaczy widzieć jak najwięcej. I mówić o tym, relacjonować, byleby bez nadmiernego przewrażliwienia.

Pisać – ale po co? Wypadki i tak idą własnym torem, z poezjowaniem mają coraz mniej wspólnego. Jak gdzieś napisał Sartre – zawód poetycki jest z góry zaplanowaną klęską. Nawet dla tych największych (Mickiewicz). I o tym właśnie prawdziwi poeci układają wiersze. Sprzeczne bowiem i paradoksalne sądy wzięte razem – są bardzo często prawdziwe. A dumna klęska pociąga jak zwycięstwo.

* * *

Właściwie teraz powinienem zabrać się za pisanie pamiętnika. Każde ludzkie życie, najnormalniejsze – nadaje się jako materiał do sklecenia jednej powieści, a co najmniej wspomnień. I w moim żywocie skryło się – jak myszy w gipsowych dziurach – kilka frapujących wydarzeń. Otarłem się także, zwłaszcza w młodszych latach w Łodzi, o wiele interesujących postaci: Leona Schillera, Władysława Strzemińskiego (twórca unizmu w malarstwie, autor „Teorii widzenia”), przyjaźniłem się w tymże mieście z Konradem Swinarskim, który wkrótce wyskoczył ponad tłumek artystyczny na dziesięć moich długości. Byłem towarzyszem Zbigniewa Nienackiego od ławy szkolnej aż do jego śmierci. W Częstochowie „opiekowałem się” pewien czas Haliną Poświatowską z poręki jej matki, kiedy nie była jeszcze znaną poetką. A osobiste przy-padki i donkiszoterie...

Dzisiaj uważam, bez nadmiernej goryczy, że moja życiowa jesień nie przypadła na najlepsze czasy. Niestety, nikt przed urodzeniem nie może wybrać dla siebie czasu, w jakim czułby się najlepiej. Zresztą w moim wieku zaczynam już odczuwać lekkie tchnienie wieczności. Jakbym stał na brzegu morza i patrzył na oddalającą się łódź, w której jestem ja sam.

* * *

Cóż za niebo po trzydniowej deszczówce! Lazurowy czajnik nad zmoczoną ziemią. Myśli „s” powróciły, jak woda po powodzi, do natu-

ralnego koryta. Chce się żyć, kochać każdy alergiczny pyłek, każdego robaka, ptaka, każdą sukienkę. To łagodna, ale silna jak obcegi, moc przyrody. W mózgu zmaltretowanym psychotropami rodzi się maleńka figurka św. Franciszka. I wiersz chciałbym spuścić z łańcucha jak psa. Niech pobiegnie w wysokie trawy, na pola jasne, okrągłe niczem ciało trzydziestoletniej kobiety. Niech zażyją swobody!

* * *

Żeby odsapnąć po „Myślach” Seneki, czytam równocześnie baśnie Andersena. Ileż w nich mądrości pod otoczką cudownych zdarzeń, ile współczucia dla biednych, pokrzywdzonych i słabych ludzi, ich niedoli! Ale też melancholijnej zadumy. I smutku.

* * *

Bogowie greccy byli nieśmiertelni. Czasem, z powodu kaprysu, obdarzali wiecznym życiem jakąś ziemską istotę. Ludzie zazdrościli bogom siły, urody, a nade wszystko nieśmiertelności. Zazdroszczą do dzisiaj. Platon i jego kontynuatorzy na plan pierwszy wysunęli duszę, dla której ciało było więzieniem (tak sądzili też chrześcijanie pierwszych wieków, a potem równorzędność, dualizm, bo zmartwychwstanie).

Ale nie o tym zapiska. Śmierć przeraża ludzi, nawet wierzących. Założmy jednak, iż jesteśmy nieśmiertelni. Byłoby to coś okropnego! Cały dramatyzm życia, jego bujność, piękno straciłyby na wartości. Życie dopiero w perspektywie śmierci ma sens. Śmierć uaktywnia człowieka, dodaje mu skrzydeł, szybkości działania. Filozoficzne myślenie byłoby bezcelowe. Mówiąc pół żartem, pół serio, trudno wyobrazić sobie świat, w którym jednocześnie egzystowałyby: Adam i Ewa, Jezus, Hitler i Leszek Miller. Na dodatek, czyżbyśmy pomieścili się (wszystkie pokolenia od początku świata) na małej planecie? Nieśmiertelność udaremniłaby rozkoszną, aczkolwiek okrutną zabawę mężczyzn w wojnę, kiedy giną miliony żołnierzy i cywili.

* * *

Może być głupie i nudne, ale może być głupie i śmieszne. Ale co? Np. film w telewizji.

* * *

Seneka: „Często należy upominać swe serce, by pamiętało, że odejdą jego ukochania, że nawet już odchodzą. Przyjmując dary Losu, pamiętaj, iż dano ci je bez gwarancji”.

* * *

Kostropate, garbate, jakby uschnięte drzewko, które żona Andrzeja nazwała, ku memu zdziwieniu, wiśnią japońską, zobaczyłem miesiąc później, dokładnie 10 maja. To już nie był strach na wróble, lecz zwawy konarek oblepiony nie białą (jak poprzednio myślałem), a różową, napęczniałą czapą kwiecica z refleksami lekkiego fioletu. Stoję, patrząc zachwycony. Siadam na ławce, odwrócony tyłem do szpetnej, kamiennej figury Moniuszki w jakiejś kosynierskiej sukmanie, a oczy mimo zaćmy wsysają przepiękną, oślepiającą barwę, pełną ekspresji i przedziwnych wzrokowych skojarzeń. Tym bardziej, że wisienka-dziewczynka stanęła na tle zieleni kasztanowców.

A jednak (drugie zaskoczenie) potrafię jeszcze się dziwić! To dobrze. Gdy się wszystko wie, odchodzi ludzka aktywność, ciekawość i człowiek nieruchomieje uczuciowo i intelektualnie jak słup telegraficzny.

Mało tego, cieszę się, iż nieraz dziwię się samemu sobie. Służę przykładem. Właściwie przez całe dość już długie życie nie używałem słów wulgarnych. Ani w mowie, ani w piśmie. A teraz używam, gdy jestem sam i nikt nie słyszy. Jakbym chciał w jeden dzień nadrobić kilkadziesiąt lat zaniechania. Klnę jak szewc i przedwojenny dorożkarz lub współczesna młodzież z tzw. marginesu. Toteż dziwię się sobie i nie umiem znaleźć przyczyny zjawiska. Wulgaryzmy natomiast słyszane na ulicy, w autobusach; słownictwo i pornograficzne sceny w filmach, książkach, wierszach rażą mnie tak samo jak dawniej. Może dlatego, że łatwiej wybaczymy sobie niż bliźnim.

Oczywiście. Kilka ostatnich zdań nie zawiera prawdy. W sztuce, prawdziwej sztuce (mówię o literaturze), wyrażenia niecenzuralne, nawet plugawe, ryszotkowe – znikają, chociaż są. Tam się kończy też pornografia (np. film, malarstwo, rzeźba), gdzie zaczyna sztuka. Ta autentyczna. Pamiętacie miłosną scenę w *„Komu bije dzwon”* Hemingwaya?

Naturalnie, moje samotnicze, acz głośnie przekleństwa, o czym na początku notatki, to problem psychologii indywidualnej, a nie jakiegokolwiek twórczości czy estetyki.

Przy okazji chcę przypomnieć, że japońskie małżeństwa (o japońskiej wiśni w często-chowskim parku już skończyłem) często ciskają, obrzucają się nie wyzwiskami, lecz miękkimi poduchami. Następuje wyładowanie gniewu, sublimacja złości. ■

Tadeusz Gierymski

turniej jednego Wiersza

(I nagroda w Turnieju Jednego Wiersza
w maju 2000)

Szymon Grzegorzewski

piosenka z podwórka

tutaj dzień się nie kończy
facet w bramie pije piwo
nerwowo spalając papierosa
okoliczni autochtoni grają
w rozbieranego pokera
za firanką spuchnięta twarz
straszy wszystkich policją

tutaj dzień się nie kończy
młoda dziewczyna w sukience
z uśmiechem na szerokość ulicy
wyzbywa się cielesnego bagażu
obnażając katedry bioder

tutaj dzień się nie kończy
krew pulsuje w żyłach
na sznurze suszy się bielizna
przemijają erekcje menstruacje
w zakamarkach warują psy
nikt nie wchodzi nie wychodzi
poza tym wszystko skończone

POECI Z KRĘGU „MENERIS”

RAFAL SALAMUCHA

* * *

Mówią, że to bardzo daleko
Mężczyźni wciąż słyszą krzyki
przestrzelone hukami salw. A
kobiety pokryte krą łez
wciąż oczekują walenia do drzwi.
Otwieram okno zbite echem zbrodni. I
widzę to co dziś rano
w „Wiadomościach”.

To samo rozdygotane podwórze,
takie same pobladłe domy. I
klatki schodowe
i krew,
też taka sama, jaka
płynie przez ostatnie
siedemdziesięciolecie trwogi.
Mówią, że to bardzo daleko. A
tak naprawdę, to
Groźny jest tuż za rogiem, Prisztina
za ścianą.

MARCIN JANOCHA „JEŹYK”

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

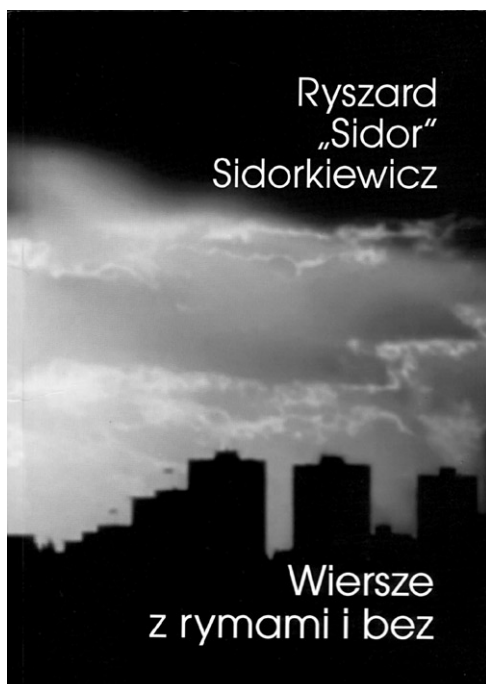
Pękła struna
a mój chomik
jak co wieczór
upomina się o
porcję pokarmu
przyszła noc
w ciężkich butach przyczłapał
sen
dawno się z nim
nie widziałem
z głośnika leniwie
płyną dźwięki
ktoś mamrocze o
wczorajszym wypadku
„...157 zabitych
16 przeżyło”
zegar niewzruszony
tyka co sekundę
tylko światło
w szklance
zielonej herbaty
załamuje się dziś
pod innym kątem

RENATA ZARYCHTA

sąsiedzi

wiedzieliśmy o nich tylko tyle
że on pies na kobiety
ona niewyżyta kotka
że żyją ze sobą na kocia łapę
jak pies z kotem
a słowa koteczku albo suko
kończą się tym samym trzeszczeniem łóżka

ODYŚA POWRÓT DO ITAKI



RYSZARD SIDORKIEWICZ wydał nowy tomik wierszy. Który z kolei? Nie wiem, nie liczyłem, bo to dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Ma natomiast znaczenie, że „Wiersze z rymami i bez” są najoryginalniejszą książeczką poetycką w regionie, stanowiącą wyraźną cezurę między dotychczasowym dorobkiem autora a wspomnianym tomikiem; pod względem formalnym i konwencji.

Co charakteryzuje najnowsze wydawnictwo: ironia, żdźbło zniechęcenia, ogład i widzenie świata, życia i siebie samego z pozycji outsidera, czasem kpiarza, a nawet żartownisia, pozorne ograniczenie tematyki do spraw osobistych, domowych. Wydaje mi się, że kreator doszedł do wniosku, iż poezja współczesna straciła swą czarodziejską moc, nie mówiąc już o wstrząsaniu sumień.

Sidorkiewicz przesunął swą stylowość w stronę swoistego „neoklasycyzmu”. Komunikaty poetyckie tchną spokojem, lekkością, luzem. W wielu wierszach doszukuję się postawy stoickiej.

Zło, jego powszechność zostało uładzone. Nie ma krzyku wściekłości, żywiołowego buntu. Poeta mówi cichszym głosem, lecz niezgoda na wartości negatywne, bezapelacyjna niezgoda, trwa nadal pod cienką skorupą, jak wulkan, co przestał wyrzucać lawę i odpoczywa. Jak długo? Na razie cisza. Myślę, że wybuchu nie będzie, bo autor już wie, że poetyckie armaty strzelają ćwiczebnymi pociskami. Po eschatologicznych i biblijnych bojach warto się zrelaksować w Itace, w objęciach Penelopy, zając małżeńskim łóżem. Także hotelowym: „Na czyich snach się wyśpię/co drzemię na poduszce”.

Język „Wierszy z rymami...” jeszcze bardziej zwięzły, oszczędny, lapidarny niż w poprzednich tomikach. nierozwleczony ani przegadany, gdyż dużo równoważników zdań i wyrzutni. A co najważniejsze – Sidorkiewicz umie znaleźć to jedyne słowo, jakie należy w odpowiednim miejscu postawić. Inni tego nie potrafią i wiersz się rozłazi od razu jak stary sweter. No i brak wulgaryzmów, co mnie bardzo cieszy, ale to marginesowa uwaga. Z tego co wyżej powiedziano, nie wynika, że wiersze Sidorkiewicza czyta się gładko, bezproblemowo. Ileż w nich „niewinnych” znaków zapytania, skierowanych do czytelników i... samego siebie! Dotyczących sfery etyczno-moralnej naszego społeczeństwa, stawianych jakby mimochodem, delikatnie, nieraz półzartobliwie.

Nie ma miejsca na dokładną analizę tomiku. Ograniczmy się zatem do kilku wierszy. Książkę otwiera „Jeszcze nie”, wiersz bardzo charakterystyczny dla odnowionej poetyki Sidorkiewicza, złożony z ciągu zdań zaprzeczających. Podmiot liryczny ma coś zrobić, na coś się zdecydować. Ale jeszcze nie teraz, nie na tej ulicy, „nie na oczach smutnej kobiety”, nie wtedy, gdy pali akurat tego papierosa itd. Ostatnie dwa wersy brzmią: „jeszcze nie tym razem /// jeszcze”. Chciałoby się zapytać co jeszcze odkłada? Pojedzie do Somali, na biegun południowy, popełni morderstwo, samobójstwo? I kiedy? Nie ma odpowiedzi. Możemy zgadywać, myśleć. Prawdopodobnie sam autor nie wie, co przesuwają w przyszłość. Temat prawie żaden, lecz problem jest. Domyślamy się, iż autora coś nurtuje, gnębi, zatrzuwa myśl itp. Interesujące stopniowanie zaciekawienia, chociaż wybuch bomby nie następuje. Wiersz banalny, a tak niebanalny! Właśnie w tym tkwi kunszt. Język prosty, czytelny, nie przywalony żmijowiskiem metafor. Zresztą ostatnia uwaga odnosi się do całego tomiku.

Ironia, kpinki, żart przenikają tkankę wielu utworów, np: „Kampanię wyborczą”, „Demony wojny”, „Autorytet”, „Pocztę literacką”, „Balladę o ślepym losie”. Ale nawet w wierszach najbardziej persyflażowych znajdziemy poważną, filozoficzną refleksję.

Zwiewny zwrot ku nowej poetyce przejawia się również w drobnych motywach z literatury tradycyjnej: Mickiewicz, Kochanowski. Zwykle owe elementy bywają bardzo śladowe i są wtopione w naturalny tok wiersza. Np. liryk „Do wiersza” i jego aura przypomina mi Jana z Czarnolasu... Z współczesnych wybitnych, „Wiersze

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, „Wiersze z rymami i bez”, Wydawnictwo WSP w Częstochowie, Częstochowa 2001 Publikacja sfinansowana przez Starostwo Częstochowskie i Urząd Miasta w Częstochowie

bez rymów” grawitują wokół Szymborskiej na zasadzie włączenia mojej intuicji i barwy...

Wróćmy jednak do głównego wątku. Najbardziej podoba mi się wiersz prosty, jasny, pozbawiony tajemniczości, za to z nutką sentymentu, co u Sidorkiewicza rzadko się zdarza, tj. „Łóżko pijane”. Nie mogę nie zacytować ponad połowy utworu:

„...czemu tak kołysz
pewnie sztorm szaleje

bar był pod Przylądkiem
Najlepszej Nadziei

i trochę wypilem
– połóż mi pod głowę

twoich nagich ramion
koło ratunkowe

i niech mnie prowadzą
przez Ocean Nocy

dwie latarnie morskie
twoje czujne oczy

Ukochane dystychy autora, łóżko – poczucie ciepłego bezpieczeństwa.

Przypadły mi do gustu także „Klechy domowe”, aczkolwiek czytałem je ze wzrastającym smutkiem. Autor bowiem ze szczególnym okrucieństwem morduje najpiękniejsze baśnie świata, wytrawia je zupełnie z cudowności, pozostawiając tylko urodę wiersza. Ja natomiast zawsze wierzyłem w krasnoludki i wierzę do dzisiaj... „Bo w świecie pełnym rozczarowań / już nie umiemy nie czarować”. Ten ostatni dystych wyjaśnia dużo. Klechy to również, a może przede wszystkim aluzja do naszej polskiej współczesności i mizerności bytowania oraz utrata nadziei w lepszy, piękniejszy świat. Tak więc wizerunek zbioru, mimo pogodniejszych wtrętów, nie jest zbyt optymistyczny.

Warsztat, wersyfikacja, stosunek treści do formy, które w żywym wierszu tworzą jedność – bez zarzutu, wprost perfekcja. Zatem jaka konkluzja? Trzeba pisać dobre wiersze i – basta! Poezja wtedy z nich tryska jak mieniąca się w słońcu woda z dobrze skonstruowanej fontanny i widać wówczas cząstkę prawdy o świecie, ludziach, dobru, złu i wariackim istnieniu. ■

Tadeusz Gierymski

KUDŁY MOJE

NOWA POETKA I ZARAZEM DEBIUTANTKA książkowa. Dwudziestopięcioletnia Małgorzata Matera wydała swój pierwszy (i chyba nie ostatni) tomik poetycki pod prowokującym tytułem „Kudły moje” (Wydawnictwo WSP w Częstochowie). Tytuł to nie żadna metafora. Kto zna panią Małgorzatę, ten zna też jej piękne, długie i czarne włosy oraz ogromne oczy. Uroda całej postaci co najmniej oryginalna.

A wiersze? Są krótkie z reguły, więc ten otwierający tomik możemy w całości zacytować:

Kudły moje
za każdym razem gdy Was układam
czuję się jak władca lasu
Łapy moje
za każdym razem gdy poleruję paznokcie
czuję się jak ogrodnik
Ślepia moje
za każdym razem gdy Was zamykam
jestem kobietą

Brawurowy tekst. Według mnie najlepszy w całym zbioru. Zuchwały, jednorodny z przestrzenią. Inny od tekstów jej rówieśniczek, co zwykle zaczynają jakimś sentymentalnym i załzawionym erotykiem. Toteż niech i ja zacznę ocenę inaczej. Będzie rozmowa z książeczką, a poprzednio z fascynującą twórczynią, która odpowie cytatami.

Pytanie: Co robi nocą w Krakowie pomnik Mickiewicza?

Odpowiedź: „Zapala papierosa i spaceruje
Floriańską
czasami pijani przechodnie
proszą go o autografy”.

P: Co robiła pewnego razu pani Matera?

O: „Oczy rozbiłam o ścianę
język powiesiłam na kaloryferze
piersi wrzuciłam do rzeki
usta podarłam na strzępy”.

P: Kto, prócz psów i ludzi, mieszka
w miastach?

O: „W miastach są mniejsi Bogowie /.../
nie kupują biletów
nie płacą taksówki”.

Małgorzata Matera Kudły moje



P: Co można dać ukochanemu do ręki zamiast piersi?

O: „Zepsute pióro”.

P: Jak najlepiej tańczyć walca?

O: „Z brodą wciśniętą między kolana /.../

wymiotując starą konserwą”.

Można by taki dialog prowadzić, prowadzić. Stosując ową metodę zdoła się największe arcydzieło poetyckie ośmieszyć, upuścić, co nie było moim zamiarem. Chciałem tylko zobrazować odmienność poetyki Małgorzaty Matery, jej nieskrępowanie, rozbuchaną wyobraźnię, oryginalną metaforę, żywiołowość i jędrność języka oraz zdolność kojarzenia bardzo odległych zjawisk i faktów. Ale to wszystko jeszcze rozhułkane, niezborne, pozbawione dyscypliny i rygoru, a to nawet w tak płynnej materii jak poezja, też musi funkcjonować. Z drugiej wszakoż strony, poezja bez krzty szaleństwa, nieprzyprawiona papryką staje się sucha, kostyczna.

Przed kilku dniami pisałem o nowym tomiku wierszy Ryszarda Sidorkiewicza z nieudawanym podziwem. „Kudły moje” zostały dużo w tyle. Ale ich autorka jest młoda, ma na pewno zdrowe nogi, toteż może w przeszłości zejść daleko.

Tadeusz Gierymski

Jeszcze o „Kudłach...”

O włosach lubiła pisać Halina Poświatowska: „trzymam miłość moją za włosy”. Natomiast Gabriela Garcję Margueza fascynował fakt, że włosy rosną po śmierci. Marta – bohaterka powieści Olgi Tokarczuk „Dom dzienny, dom nocny” mówiła: „Włosy zbierają myśli człowieka. Kumulują je w postaci bliżej nieokreślonych cząstek”. Motywy włosów wydają się być ważne także w debiutanckim tomiku wierszy Małgorzaty Matery pt. „Kudły moje”. W poezji Małgorzaty czterokrotnie powraca temat włosów: „Osiwiały włosy. Mam teraz długie, siwe, przykleiły się do głowy i zasłaniają oczy”, „we włosy

wdarł się pełen podziwu księżyc...”, „dłuższe włosy”. Na pewno też nie przypadkowo autorka zatytułowała swoją książkę poetycką – „Kudły moje”. Dla Małgorzaty włosy mają jakieś głębsze, magiczne znaczenie. Trudno się dziwić, skoro cały przedstawiony w tomiku świat jest trochę czarodziejski. Chłonąc wszystkimi zmysłami rzeczywistość, autorka wykreowała „bajeczną codzienność”, gdzie wszystko ulega antropomorfizacji i animizacji. Słychać „szept zakamarków” i „chichot klatki schodowej”, a „ulica krwawi”. Tutaj można rozmawiać ze skrzatem i nawet spotkać anioły – jedne są kalekie, inne siedzą spokojnie pod liściem. Jednak, co mnie trochę zaskoczyło, w tym wyidealizowanym świecie człowiek nie jest szczęśliwy. Jakby zdawał sobie sprawę ze wszechobecnej iluzji. Czasami popija herbatę z cytryną i rumem albo zamyka się „na cichym piętze żółtej kamienicy”. Człowiek w autonomicznym świecie Małgorzaty pamięta „o tym co dobre i co złe”. Las radzi mu ucieczkę „od cudów ulicy”. Może poetka świadomie wykreowała inną rzeczywistość, aby spojrzeć z dystansem na codzienność i stwierdzić pesymistycznie:

*„Świat biegnie potyka się
upada i wstaje
śpieszy się aby zdążyć
przed ostatecznym upodleniem”.*

Spostrzegawczy czytelnik zauważy także, że na kartach książki „Kudły moje” rozgrywa się dramat kobiety:

*„oczy rozbiłam o ścianę
język powiesiłam na kaloryferze(...),
„palce od stóp porozrzucane na podłodze pod
łóżkiem”(…),
„może zamiast moich piersi /dać ci do ręki zepsute
pióro(...)”.*

Kobieta ulega w tych wierszach autodestrukcji, rozkłada swoje ciało, aby stworzyć się ponownie – czystą, bez śladu grzechu, bez wpływów konformistycznego świata.

Wioletta Grzegorzewska

**Małgorzata Matera „Kudły moje”
Wydawnictwo WSP, Częstochowa,
2000**

**Tytuł dotowany przez Urząd Miasta
w Częstochowie**

O WIELKOŚCI ŚWIATA

Ludmiła Marjańska

Świat jest przecież ogromny i coraz bardziej dostępny, wszystko zależy od nas: czy nauczymy się obcego języka, czy będziemy dość odważni, żeby podjąć ryzyko, czy chcemy zerwać dotychczasowe więzi i zmienić otoczenie, sposób życia, siebie.

Rozmawiam ze znajomą Amerykanką na temat przemian, jakie zachodzą w naszym kraju. Nancy Burke jest obywatelką kanadyjską, urodzoną w Stanach; przez kilka lat przebywała w Hiszpanii, a od dłuższego czasu mieszka w Polsce i na Uniwersytecie Warszawskim prowadzi wykłady z literatury amerykańskiej (w tym także z literatury kanadyjskiej). Dlaczego wybrała Polskę? Przyjechała tu w latach osiemdziesiątych, kiedy poziom naszego życia odbiegał znacznie od standardów amerykańskich, ale dla niej nie to było ważne. Okres był burzliwy, trwały podskórne napięcia, coś się zaczynało, nadchodził czas przełomu i tak zwanej (brzydko, choć zapewne naukowo) transformacji. Nie była to spokojna, „pachnąca żywicą” Kanada. Trudno powiedzieć, co ostatecznie spowodowało, że Nancy Burke po pierwszym, krótkim pobycie wróciła do Polski na dłużej.

Nasza rozmowa dotyczyła zasadniczej różnicy między społeczeństwem amerykańskim a polskim. Nasze społeczeństwo było zasiedziałe, nieruchliwe, przywiązane do korzeni. Silne więzi rodzinne umacniał całymi latami nie tylko Kościół katolicki, ale także warunki, w których wielopokoleniowe rodziny zamieszkiwały wspólnie (nie zawsze z konieczności). Naturalny był szacunek dla ludzi starych, a więc doświadczonych: te babcie w czepekach, siedzące w fotelu i podające dłoń do pocałunku, dziadkowie

przekazujący wnukom tradycje rodzinne i zanu-dzający ich opowieściami o kolejnych powstaniach! Ukształtowaną w tych warunkach niechęć do ruszania się z miejsca, zasiedziałość, przywiązanie do „małych ojczyzn” pogłębiły po drugiej wojnie światowej nie tylko trudności materialne i ogólne zubożenie społeczeństwa, ale przede wszystkim uwarunkowania polityczne związane z ograniczeniem wyjazdów za granicę, z ogromnymi utrudnieniami w uzyskaniu paszportu. No i wrastaliśmy w tę ziemię, zapuszczaliśmy korzenie, choć w każdym pokoleniu część narodu zmuszona była do politycznej czy zarobowej emigracji.

Ameryka – ziemia obiecana dla wielu emigrantów, kontynent wabiący rozległą przestrzenią i możliwościami przyciągał także i nas. Tam mieszkało wiele narodowości, jak w tyglu mieszały się rasy i języki, i Polacy mogli się wtopić w tę niejednorodną masę, zapomnieć o swoim nie-wdzięcznym kraju. Korzenie stawały się z wolna cienką nitką, więzi rodzinne traciły znaczenie, zwyciężała złudna łatwość bytowania.

Moja rozmówczyni potwierdziła to: amerykańskie społeczeństwo jest „mobilne”, łatwość poruszania się po świecie to pokusa, której trudno się oprzeć. Dlaczego nie wybrać lepszego miejsca, gdzie można łatwiej się urządzić, znaleźć lepszą pracę, poprawić sobie byt? Kiedy trudno żyć w Nowym Jorku, wyjeżdża się na dwa czy trzy lata do Wenezueli, potem można wrócić i próbować jakoś się urządzić, chociaż coraz trudniej znaleźć odpowiednią pracę (na jedno miejsce wykładowcy w szkole wyższej jest kilkuset kandydatów), spróbujemy więc w Trynidadzie – to podobno piękna wyspa. Świat się zmienia, za rok zdecydujemy, co dalej.

Młody Amerykanin po skończeniu studiów na slawistyce pracuje w Rosji, na przykład w Perm (dla nas legendarnym niegdyś miejscu zesałań), tam żeni się z pełną ciepła Rosjanką, wyjeżdżają do Moskwy, gdzie cudzoziemiec znający rosyjski może dostać pracę w zagranicznej firmie, a więc zawirowania polityczne i trudności, z którymi borykają się inni, nie dotyczą młodej pary.

A że cierpią na tym rodzinne uczucia, że rozpadają się rodziny? „Mam bardzo dobrych synów” – powiedziała mi kilka dni temu Amerykanka polskiego pochodzenia – „zawsze telefonują do mnie na Boże Narodzenie”. Każdy z nich mieszka w innej części Stanów, a jeden bodaj przeniósł się właśnie do Australii. Trudno mieć do nich pretensje. Dlaczego mieli by gro-

madzić się w ciasnym mieszkaniu matki w jakiegokolwiek święto? Telefon, komputer, fax, Internet – wszystkie wspaniałe, nowoczesne wynalazki mają służyć szybkiej komunikacji, a nie rozwojowi rodzinnych uczuć.

Tak, świat się zmienia – stwierdzamy zgodnie z moją rozmówczynią. Także w naszym kraju zachodzą zmiany. Jeden z moich znajomych studentów politechniki dostał roczne stypendium i wyjechał do Anglii, drugi – tuż przed magisterium z zarządzania na Uniwersytecie – dostał już świetnie płatną posadę w firmie zagranicznej, których coraz więcej jest w Warszawie, i z pomocą Internetu porozumiewa się z Nowym Jorkiem, Singapurem i z innymi odległymi miejscami na świecie. Wprawdzie żaden z nich nie ma jeszcze własnego mieszkania, ale jest nadzieja, że dziadkowie w końcu zejdą z tego świata (średnia wieku jest stanowczo zbyt wysoka), zresztą można już i u nas zarobić pieniądze i wynająć sobie mieszkanie, a z czasem wybudować dom. Pytanie tylko czy ci młodzi ludzie, którzy nie mają ochoty słuchać opowiadań o wojnie, o powstaniu warszawskim ani nawet o bohaterskim zrywie „Solidarności”, będą przywiązani do miejsca urodzenia, czy zechcą wracać do Warszawy, Płocka, Wrocławia lub Makowa Podhalańskiego chociaż na Boże Narodzenie?

Czy nie skusi ich – jeśli nie Ameryka Północna, która z wolna ogranicza liczbę imigrantów – to egzotyczna Afryka lub wspaniała, stabilna Szwecja? Świat jest przecież ogromny i coraz bardziej dostępny, wszystko zależy od nas: czy nauczymy się obcego języka, czy będziemy dość odważni, żeby podjąć ryzyko, czy zechcemy zerwać dotychczasowe więzi i zmienić otoczenie, sposób życia, siebie.

Patrzę na swoją cichą do niedawna ulicę, którą teraz sunie samochód za samochodem – nie żadne tam syrenki, wartburgi czy polonezy, ale ford, toyoty, hyundaie, mitsubishi, coraz bardziej obco brzmiące nazwy firm i modeli – i myślę, że to przelatują marzenia młodych Polaków, konkretne, lśniące, lakierowane na różne kolory. Czasem tylko na skrzyżowaniu zderzają się z hukiem i rozbijają, ale zaraz na uprzątniętej ulicy pojawiają się nowe auta, a w nich dzielni kierowcy, pełni wiary we własne umiejętności i możliwości. I jest to chyba naturalne. Oby tylko zdarzało się im jak najmniej życiowych katastrof. Oby nie natrafiali na trudne skrzyżowania, nieoznakowane ścieżki i na obcych, nieodpowiedzialnych kierowców, którzy zatarasują im drogę. ■

Z perspektywy błazna

Miałem ostatnio okazję posłuchać i obejrzeć kilkanaście programów o charakterze recitalu w ciągu zaledwie dwóch dni. Zdarzyło się to w malowniczej scenerii dziedzińca zamku krzyżackiego w Kwidzynie na imprezie o wdzięcznej nazwie "Wieczne nastroje". Co ma wspólnego ta impreza z naszym miastem? Nic! Lecz jedna z wykonawczyń stających do konkursu z półgodzinnym programem spowodowała swym występem refleksję nad życiem kulturalnym naszego szacownego grodu. Ponieważ byłem jednym z jurorów, starałem się po imprezie porozmawiać z każdym z wykonawców, aby przekazać wrażenia z ich koncertów i choć w przybliżeniu określić kryteria moich ocen. W przypadku wymienionej młodej wokalistki podkreślałem jej wysoką kulturę muzyczną, nietandetną instrumentację utworów, czystość intonacji, ciekawy dobór tekstów. Wszystko niby się zgadzało. Widać było, że włożyła w swój recital ogromną pracę, lecz równie wyraźnie widać było, że celem tej pracy stało się pokazanie kultury muzycznej „jako takiej”. W trakcie przygotowań wykonawczyni zapomniała, że kultura muzyczna nie służy sama sobie, lecz przekazowi treści. Kultura muzyczna wykonawcy jest narzędziem, a nie celem. To tak, jakbyśmy stawiali pomnik młotka lub obcęgow zamiast oceniać obiekty przy pomocy tych narzędzi stworzone. Wypisz, wymaluj – obraz życia kulturalnego Częstochowy.

Trochę wcześniej obejrzałem na scenie Filharmonii musical „Jesus Christ Superstar”. Najwyraźniej nikomu z klaszczących po spektaklu na stojąco widzów nie przeszkadzało to, że Jezus (w tej roli bardzo dobry wokalnie Maciej Balcar) w tym konkretnym przedstawieniu nie znalazł w sobie siły, aby swoją postawą zrównoważyć cynizm Heroda (znakomicie zagrany przez Jacentego Jędrusika). Niczym też nie potrafili zaimponować apostołowie, którzy wydawali się być grupą całkowicie zagubionych i pozbawionych ikry grzecznych chłopców. Brak wiarygodności trzech głównych postaci (Jezus, Judasz, Magdalena) tego konkretnego dramatu **nie może** być zastąpiony (przynajmniej dla mnie) wyrazistymi rolami drugoplanowymi, profesjonalizmem wokalnym solistów i chóru oraz poświęceniem orkiestry grającej w ciasnej kieszeni scenicznej filharmonii.

Wyszło na to, że Herod miał rację. Takie przesłanie wyniosłem z opisywanego spektaklu.

Nie dziwi, że brak treści nie przeszkadza przeciętnemu widzowi, któremu może zaimponować profesjonalna oprawa sceniczna. Zastanawia jednak, iż brak treści nie jest przeszkodą w odbiorze w przypadku niektórych osób profesjonalnie zajmujących się kulturą.

Powyższe zdarzenia utrzymują mnie w przekonaniu, że poszukiwanie prawdy i człowieczeństwa na scenie, to zadanie ciągle żywe, a rozmowa o treściach w kulturze (szczególnie w naszym grodzie), to sprawa dla której warto poświęcić kawałek życia.

Wydaje się, że czasem na spotkaniach Sceny „Błazen” udaje się nam dotknąć prawdy, a nasi goście bardzo w tym pomagają, dając impuls do dyskusji o tym, co na scenie najważniejsze.

Tomasz Kmiecik



3 654 spotkanie – z przymrużeniem oka

Widzowie wałą drzwiami i oknami (oknami tylko ci bez biletu).

Hosstesy ubrane tylko w czapki z dzwoneczkami wnoszą na scenę naszego antykonferansjera – Tomasza Kmiecika. Kiedy Tomasz gra preludium f-móll, niektóre wielbicielki mdleją z zachwyty. Omdlałych wnosi „MAŁA GWARDIA” pod dowództwem Andrzeja Gęsiarza. Włodek Grabowski postanawia spełnić obietnicę daną Dance i zostaje punkiem. Wjeżdża na scenę zardzewiałą „damką” obwieszony łańcuchami ze stali nierdzewnej. Następnie prezentuje balladę „O przydrożnym sraczu”. Jego występ przerywa nieoczekiwane pojawienie się w OPK

„Gaude Mutter” Roberta Redforda i Tanity Titar, którzy jako zdeklarowani pacyfiści publicznie zrywają współpracę z Piotrem Tarnowskim i obiecują, że nigdy już nie zagrają w jego scenkach historycznych. Zespół „MY” śpiewa piosenkę „Tylko Ty”, a Boniek Dymarczyk wpada na scenę i krzyczy: „nie zrobicie metropolii z Częstochowy!” Oddziały „Małej Gwardii” wynoszą aktora do toalety, gdzie czuwa oko Małego Brata. Agata Ślazyk usunęła kolejny ząb mądrości i nie może zaprezentować przeboju ze swojej trzeciej płyty pt. „Coś jednak wysiedzimy przy tym stole, ale właśnie zrobiło siku...” Tymczasem Boniek Dymarczyk wraca na scenę, ale skutecznie zagłusza go zespół „Kwiaty w Armacie” – cóż za bombowa piosenka, aż uszy puchną!... W kuluarach poeci serwują autografy – 50 euro za jedną parafkę. Czesia Monczka ucieka z próby przedstawienia Adama Hanuszkiewicza, który przygotowuje adaptację wiersza Słoty „O zachowaniu się przy stole”. Zespół „Edek i kredki” rezygnuje z występu. Edek zmienia ksywę, a Kredki protestują. Anka Biernacka przedstawia fragment dramatu Mrożka. Leży w samych trampkach na katafalku. Sergiusz Orłowski tańczy „Jezioro łabędzie”... Na zakończenie długo oczekiwany gość z kraju – bard, ekscentryczny subaryta, selenita, kulturysta i transwestyta, repulsywny pionier banalizmu w muzyce – Zenon Bork...

„Grzybobranie”

2 IV 2001 r.

„Autobus kołysał się na wybojach” – tym zdaniem rozpoczęli spektakl dyrektor Teatru w Kłodzku Marek Mokrawiecki i dyrektor Teatru w czes-



Karol Suszka i Marek Mokrawiecki – „Grzybobranie”

kim Cieszynie Karol Suszka. Aktorzy przedstawili w duecie scenkę obyczajową na podstawie opowiadania Marka Nowakowskiego. Jak kameleony zamieniali się rolami; malowali narracyjną opowieść z czasów przed Okrągłym Stołem. Cały kolektyw biura konstrukcyjnego jedzie autokarem na wycieczkę do lasu.

Dobrą stroną spektaklu były barwne i dobrze naszkicowane postacie: inżynier Dopierała, przezywany „Tylko do przodu”, Dyrektor, seksowna pani Mariola, inżynier Pawluśkiewicz, kierowca, pan Władzio, żona inżyniera Pająka, nieśmiały inżynier Prawiczek. Wycieczka za miasto nie kończy się podobnie jak grzybobranie w „Panu Tadeuszu”, gdzie rządkiem, grzecznie wszyscy wracają do dworku w Soplicowie.

Piknik biura konstrukcyjnego jest suto zakrapiany alkoholem i nawet kierowca, pan Władzio, nie omieszkał gołnąć sobie jednego kielonka na pocieszenie. Po kilku głębszych pryska jak zły czar zbiorowa schizofrenia, wszyscy zaczynają być sobą. Inżynier Dopierała, znany lizus, zaczyna bełkotać prawdę – lecz nikt go już nie słucha...

Spektakl był relacją socjologiczną, demaskował ludzkie zachowania z okresu socjalizmu w Polsce. I trudno nie przywołać tutaj teorii Czesława Miłosa, który posługiwał się jednym słowem na określenie konkretnych postaw – KETMAN.

Dwaj dyrektorzy Teatrów sprawili, że widz uległ iluzji i wydawało mu się, że sam jest na grzybobranii. Dlatego aktorom można było wybaczyć nawet drobne przejęzyczenia.■

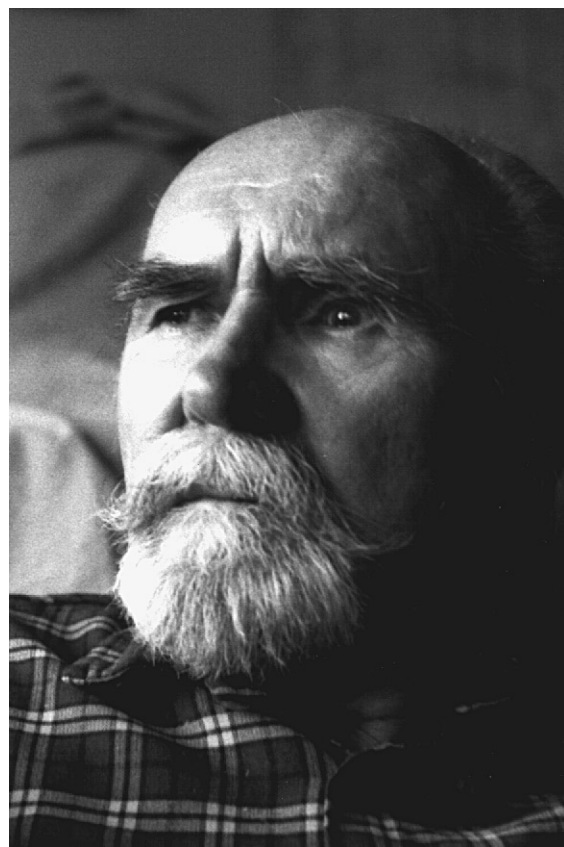
Wiola Grzegorzewska

Anka Biernacka



Wspomina

Zenon Kaczanowski



Zenon Kaczanowski – dziś (fot. Paweł Gładys)

Pierwszy kontakt z Częstochową? To był chyba czterdziesty siódmy albo czterdziesty ósmy rok. Chodzi oczywiście o kontakt ze sceną częstochowską. Byłem wtedy studentem Łódzkiej Szkoły Teatralnej. Miałem szczęście brać udział w pierwszej powojennej inscenizacji „Krakowiaków i Górali” w reżyserii ówczesnego rektora Leona Schillera i właśnie z tym spektaklem odwieźliśmy Częstochowę.

Następny raz? Przepraszam, ale muszę wrócić do tamtych zamierzczłych czasów. Bo przecież gdyby nie ludzie, z którymi się spotkałem, mógłbym być zupełnie kimś innym. To była plejada niezwykłych osobowości, ludzi oddanych bez reszty swojej pasji. A byli to i wykładowcy:

Aleksander Zelwerowicz, Jacek Zelwerowicz, Józef Węgrzyn, Henryk Szletyński, Tadeusz Byrski, których nazwiska znają młodzi z pamiętników, wspomnień i nielicznych wzmianek w publikacjach z okazji jakichś rocznic, i koledzy: Ewa Krasnodębska, Bogdan Baer, Tadeusz Pluciński oraz ci, z którymi grałem będąc w Łódzkiej Szkole: Kazimierz Dejmek, Lech Ordon, Gustaw Lutkiewicz, wilnianin jak ja.

Tak, tak, miało być o Częstochowie... Pierwszy mój pobyt w tym mieście przypadał na okres dyrektorowania Andrzeja Uramowicza. Szukałem miejsca, gdzie byłby ktoś z mojej Łódzkiej Szkoły. Niestety, wielu osób z zespołu artystycznego nie ma już z nami. Grałem w takich spektaklach jak „Cudze dziecko” Wasilija Szwarkina w reż. Andrzeja Uramowicza, „Kulig, czyli pochwała dawnej wesołości” w reż. Jerzego Uklei, „Zemsta” w reż. Jerzego Wyszomirskiego, Jerzego Waldena „Mój przyjaciel minister” w reż. autora, Stefani Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota „Ballada o tamtych dniach”, którą reżyserowała Irma Czaykowska. Tak się złożyło, że większość reżyserów pracujących z nami w czasie tych trzech sezonów, to moi koledzy ze szkoły teatralnej, co gwarantowało rzetelne przygotowywanie spektakli od strony inscenizacyjnej i, obecnie już zanikającą, umiejętność pracy z aktorem. Ponieważ grałem i reżyserowałem w wielu miastach, mam możliwość konfrontacji. Teatr nasz w okresie dyrekcji Andrzeja Uramowicza, to teatr wprawdzie konwencjonalny, ale solidny, artystycznie wyrównany, bez ekstrawagancji, ale nie bez polotu. W zespole aktorskim było wiele wszechstronnie utalentowanych osób, m.in.: Krystyna Biel-Wagner, Stanisława Gallówna, Maria Drzewiecka, Maria Kubicka, Stanisław Malatyński, Wiesław Ochmański. Pozostają już tylko w naszej pamięci.

Życie towarzyskie? No, oczywiście nie cały czas był wypełniony pracą. Wtedy w teatrze zespół to był zespół, a nie zbiorowisko zebranych przypadkowo, skazanych na siebie osób. Razem pracowali, razem biesiadowali, wspierali się w pozateatralnych dokonaniach artystycznych. Zaraz, racja, „Potop”... Przecież wtedy Jerzy Hoffman kręcił „Potop”. Wielu naszych aktorów brało w nim udział. Wtedy też odnowiłem szkolną znajomość ze Stanisławem Jasiukiewiczem sekundując mu w wielu scenach jako jeden z rycerzy – obrońców Częstochowy. Niestety, wkrótce potem Jasiukiewicz zmarł. Podczas nabożeństwa odprawionego na Jasnej Górze miałem zaszczyt czytać wspomnienie o nim, jako wspa-

niałym koledze i świetnym aktorze. A czytałem je od ołtarza w pełnej zbroi, w której towarzyszyłem mu jako Ojcu Kordeckiemu na planie filmowym.

Przerwa? Przerwa trwała pięć lat i znowu zawitaliśmy do Częstochowy. Tym razem wabikiem było nazwisko dyrektora Tadeusza Bartosika. Co prawda trochę niezręcznie było odchodzić z teatru, gdzie uhonorowano minie mianem laureata plebiscytu na najpopularniejszego aktora Poznania 1979. Tym bardziej, że wyróżnienie to przypadało rokrocznie artystom poznańskim, a ja byłem w Gnieźnie – naówczas sześćdziesięcioletnim mieście. Trochę żal... No, ale tak się losy potoczyły. Tutaj wiele osób z zespołu artystycznego było tych samych, ale i sporo nowych, zwłaszcza młodzieży. Zarówno wiekiem jak i doświadczeniem, a i stosunkiem do zawodu, zespół był bardziej zróżnicowany. Repertuar nie był tak równy, było sporo spektakli dobrych, ale i sporo nijakich. Pojawiło się paru młodych reżyserów, którzy już nie zajmowali się reżyserią, ale inscenizacją. Klimat w teatrze był



„Dziady” Adama Mickiewicza w inscenizacji Stanisława Nosowicza sez. 1992/93 (fot. arch.)

cieplejszy i luźniejszy. Dyrektor był bardziej przyjacielem niż szefem, co nie wszyscy umieli docenić. Szczęściem wieloma sprawami kierował nieoceniony dyrektor administracyjny pan Jan Kempa. Grałem m.in. w takich sztukach jak: „Król Edyp” Sofoklesa, „Czyżby” Jacka Janczarskiego w reż. Ryszarda Krzyszychy, również w jego reżyserii „Cnota klejnot drogi” – pieśni i fraszki Jana Kochanowskiego, Rolfa Schneidera „Proces w Norymberdze” w reż. Dyrektora. W zespole byli wtedy m.in. Anna Ramza, Krysztyna Michel, Teresa Ujazdowska, Janusz Barburski, Jerzy Balbuza, Stanisław Czaderski, Ryszard Wachowski. Stan wojenny zastał nas w Częstochowie. Wielu kolegów uważało, że ważniejszą sprawą niż rzetelna praca na scenie jest wiecowanie, strajkowanie, demonstrowanie solidarności, co prawda nie wiadomo wobec kogo. Te-



„Ułani, ułani” reż. Tadeusz Pliszkievicz sez. 1991/92 (fot. arch.)

atrem zamiast artystów zaczęli rządzić nowo kreowani działacze. Spektakle zostały zawieszono, a aktorzy „urlopowani”. Owszem, graliśmy trochę na własną rękę w kościołach, salkach katechetycznych, ale właściwie bardziej po to, by nie zardzewieć. W tej sytuacji dyrektor Bartosik z końcem sezonu zrezygnował z piastowanego stanowiska.

Czemu nie zostaliśmy? Nie mieliśmy przekonania co do następnej ekipy, jak się okazało, nie bez racji. Wiedziałem, że takich dyrektorów jak Aleksander Sewruk w Olsztynie, czy Mieczysław Kotlarczyk w Teatrze Rapsodycznym w Krakowie już po prostu nie ma, ale gdzieś trzeba było szukać nowego miejsca.

Następny powrót? Po przejściu na emeryturę grałem równolegle w Kielcach i w Częstochowie za dyrekcji Ryszarda Krzyszychy. Brałem udział w „Dziadach” Adama Mickiewicza i w „Obronie Częstochowy”. Potem przypomniał sobie o mnie dyrektor Henryk Talar i zaprosił do udziału w sztuce „Lot nad kukułczym gniazdem” i w jednoaktówce Sławomira Mrożka „Na pełnym morzu”. Przy okazji tej premiery zorganizował mi skromny jubileusz pięćdziesięciolecia pracy artystycznej. Był to bardzo miły, nieoczekiwany gest z jego strony, tym bardziej, że nie miał żadnych powodów, żeby pamiętać o mnie, bo nigdy wcześniej żadnych kontaktów ze sobą nie mieliśmy.

Czy pierwszy jubileusz? No, nie. Taki naprawdę uroczysty obchodziłem w czterdziestopięciolecie moich poczynań scenicznych w Kielcach, w okresie dyrektorowania Wojciecha Boratyńskiego. Grałem wówczas rolę Piłsudskiego w spektaklu „Ułani, ułani” w reż. Tadeusza Pliszkiewicza. Obecny dyrektor... A właśnie, mimo, że graliśmy razem i byliśmy w dobrej komitywie, nie ma czasu, aby pamiętać o miejscowych weteranach, a powód by się znalazł. Pięćdziesiąt pięć lat na scenie...

Co bym chciał dodać? Może to, że od początku moich kontaktów z teatrem z zamiłowaniem i pasją (i nie bez sukcesów) zajmowałem się animowaniem ruchu amatorskiego i pracą z młodzieżą. Co jeszcze? Podziękować Waszemu piśmiu, że pamięta o tych, którzy już nie uczestniczą czynnie w życiu kulturalnym naszego miasta, ale w jakiś sposób mieli wpływ na jego wizerunek. Jak powiedział Konstanty Ildefons Gałczyński – „Jeszcze tyle byłoby do pisania, nie pomogą tu żadne słowa...”. Jednym słowem chyba trzeba zacząć pisać pamiętniki. ■

Wysłuchała Małgorzata Kaczanowska

THANATOS

MAŁGORZATA MATERA

Każdy wiersz jest współwierszem, każde czytanie współczytaniem.

H. Bloom

*Musi się zwłaszcza dużo dziać w teatrze!
Tłum chce coś widzieć, czemuś się napatrzeć.
Gdy mu się ciągle wszystko w oczach mieni,
Aż ostupiały każdy tkwi jak czop,
Już zwyciężyłeś na całej przestrzeni
I wszyscy mówią, żeś kochany chłop.*

Johann Wolfgang Goethe

O s o b y

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY:

wiek – około 35 lat, dobrze skrojona marynarka, idealnie dobrany krawat, miła aparycja.

DZIEWCZYNA:

młoda, ładna.

MĘŻCZYŻNA:

wiek – około 25 lat, ubrany luźno, ale gustownie.

KOBIETA Z DZIEĆMI:

wiek – około 63 lat, dwójka dzieci.

DWÓCH POLICJANTÓW

PIJAK

THANATOS:

Eurypides w tragedii Alkestis wymienia to bóstwo jako boga śmierci. Urodził się co prawda w Podziemiach, ze swym bliźniaczym bratem Hypnosem, Snem (ich matką była Noc) i jest raczej zwiastunem śmierci niż śmiercią. Zlatuje na czarnych skrzydłach, wchodzi niepostrzeżony do pokoju i złotym nożem odcina konającemu pukiel włosów. W ten sposób, niby kapłan umarłych, składa człowieka na ofiarę bóstwom podziemnym i na zawsze odrywa od ziemi.

Współcześnie Thanatos to młody, przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna z długimi włosami.

Ubrany elegancko w czarny garnitur, jasną koszulę i krawat. Ma duże, czarne skrzydła.

Uwaga! Nie widzą go pozostałe osoby dramatu.

Scena I

Po lewej stronie sceny stolicek, a na nim: serwetka, popielniczka i wazon ze sztucznymi kwiatkami. Cztery krzesła.

Po prawej stronie widać fragment parku: koniecznie drzewo, ławkę, może być zadbane klomb, kawałek żywopłotu lub jakiś inny charakterystyczny rekwizyt. Od prawej strony wchodzi bardzo pijany mężczyzna. Coś mamrocze pod nosem, niewyraźnie przeklina. Stara się usiąść na ławce, próbuje dwa razy – nie udaje mu się. Kopie niezdarne ławkę. Cały czas trzyma w ręce pustą butelkę po jakimś łatwo dostępnym, popularnym i mocnym trunku. Jest brudny, śmierdzący, ma zniszczoną twarz, zaniedbaną wyraźnie fryzurę. Chodzi, zataczając się mocno, wokół ławki. Nagle staje, odwraca się do publiczności.

PIJAK

(zdecydowanym, trzeźwym głosem śpiewnie recytuje) Omnia mea mecum porto!

Potem powraca do stanu zapijającego straceńca. Dalej usiłuje utrzymać się na nogach. Kaszle, wręcz charczy. Nagle potyka się i upada, głośno uderzając głową o ziemię. Umiera. Moment śmierci przedstawiony bardzo realistycznie: drgawki, konwulsje, krew wypływająca z ust. Dookoła szkło z roztraskanej butelki. Po chwili wbiega na scenę Thanatos. Pochyla się nad pijakiem, obcina kosmyk brudnych włosów i z obrzydzeniem chowa do foliowego woreczka, a potem do kieszeni. Próbuje postać nad zmarłym w pozycji pochylonej, jednak smród mu na to nie pozwala, macha nad zwłokami ręką i z obrzydzeniem na twarzy odchodzi.

Scena II

Wchodzą: od lewej strony Mężczyzna, od prawej Dwóch Policjantów. Mężczyzna siada przy stoliku, zapala papierosa. Nerwowo rozgląda się dokoła. W tym czasie policjanci wyciągają Pijaka za rękawy ze sceny, nie kryjąc obrzydzenia. Po chwili jeden z Policjantów wraca i dyskretnie wkopuje szkło z rozbitej butelki pod ławkę. Zapala papierosa i wychodzi.

Scena III

Wchodzi Człowiek Cywilizowany. Za nim drepcze Thanatos. Do Człowieka Cywilizowanego podbiega Mężczyzna.

MĘŻCZYŻNA

Masz wódkę?

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Nie, ale mam długopis.

MĘŻCZYŻNA

Napiszesz, że nie masz wódki?!

Człowiek Cywilizowany wyjmuje notes, zapisuje, wyrywa kartkę i daje ją Mężczyźnie.

MĘŻCZYŻNA

Masz wódkę?

Człowiek Cywilizowany rozkłada bezradnie ręce i odchodzi. Thanatos również.

Scena IV

MĘŻCZYŻNA

Ja, ja proszę państwa mam tutaj życiowy egzamin (zdenerwowany, obraca coś w dłoniach, np. zapalnik) I nie przeraża mnie brak wiedzy, nie (chodzi w kółko) Nerwy! Bo, ja... Kiedy ja tu o ludziach, dzisiejszych – trzciny myślące, a teraz wątle. Słabość, fanatyzm i nerwy, proszę państwa. Kogo ratować, kogo? Jestem mężczyzną, młodym i wcale nie gniewnym. Ja pragnę otwarcia. (rozdygotany spogląda na zegarek) Otwarcia tych zaśmierdziałych twierdzy na spokój sumienia. Kto w takich czasach myśli o funkcji wyrzutów sumienia, przykazaniach tych dziesięciu czy innych? Tylko pogoń, nerwowa pogoń za spełnieniem, tak bardzo niepotrzebnym spełnieniem! (zaczyna obgryzać paznokcie, znów chodzi w kółko) Nie, proszę państwa, nie patrzcie tak, wszystko w porządku, wy względnie opanowane... (ryczy) Osilki! Moje oczy już męczy brudna codzienność, ta brawura parszywej brzydoty. Moje uszy męczy fałszywa nuta gadania zrobionych ludzi. Gdzie pieszczoty doskonałości? Od słowa do słowa uciekają do szarych marynarek z niemiłych, bezdusznych sklepików. Oto filozofia małości, grubiaństwa dzisiejszego, przeciętnego kombinatora, proszę państwa. A reszta to utopia. (spogląda na zegarek. Zamyśla się. Po chwili zaczyna dalej mówić.) Ja wiem, egzamin. Błahe rozmowy na przeterminowane tematy. A potem knajpa, kilka łyków podłej wódki i tak od snu do snu, od marzeń do potrzeb, prosto do, do... toalety. Wybiega.

Scena V

Wchodzi Kobieta z Dziećmi. Ona w środku, dzieci trzymają ją za ręce.

KOBIETA Z DZIEĆMI

(razem recytują) Czarownicy żyć nie dopuścisz!
(głośniej) Każdy, kto by się złączał z bydlęciem,
śmiercią umrze.
(szepciem, prawie sycząc) Pas devant!
Wychodzą.

Scena VI

Wchodzi Dziewczyna, mocno umalowana (być może prostytutka). Staje pośrodku sceny, jest pewną siebie osobą. Po chwili wchodzi Człowiek Cywilizowany. Zauważa Dziewczynę.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

O! (oczarowany) O wieszczko złota, Sybillo natchniona, jakaś ty piękna.
Dziewczyna mruga zalotnie.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

O! O! A poszedłbym za tobą nawet za Acheron i Styks. Cóż może znaczyć to spotkanie? (niecierpliwie) Znam cię, znam...
(ogarnia go podniecenie, nerwowo zapina rozporek) Warszawa?

DZIEWCZYNA

(uwodzicielsko) Puławy...
Wchodzi Thanatos z kijem baseballowym w ręce. Zbliża się do Człowieka Cywilizowanego.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Tak, tak, tak (nerwowo) na stromym zbocz, jak w Tivoli, tak, tak.
Thanatos z całej siły uderza kijem w kark Człowieka Cywilizowanego. Nic się nie dzieje.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

To co ty tutaj, wieszczko natchniona, w tej dziurze, w takim miejscu parszywym, złota ty, śliczna...
Thanatos zgłupiał, siada zdenerwowany na ziemi.

DZIEWCZYNA

Takie życie...

Podchodzi do Człowieka Cywilizowanego blisko, prawie dotyka go biustem. Patrzy mu głęboko w oczy.

DZIEWCZYNA

Full servis.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(dysząc) Jaka to cudna katastrofa czeka mnie. Pani, córo królewska! Niech spojrzę, niech tylko spojrzę...
Dotyka szybko dziewczynę po biodrach, przesuwając rękę wyżej, jakby sprawdzając doskonałość budowy jej ciała.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Dobrze, bardzo dobrze. Chodźmy.
Wychodzą. Oszołomiony Thanatos wstaje, trzymając się za głowę wychodzi.

Scena VII

Wchodzi Kobieta z Dziećmi.

KOBIETA Z DZIEĆMI

(razem recytują) Jeśli by kto zwiódł pannę, która nie jest poślubiona, i spałby z nią, da jej konieczne wiano i weźmie ją sobie za żonę.
Wychodzą.

Scena VIII

Wchodzi Kobieta z Dziećmi.

KOBIETA Z DZIEĆMI

(razem recytują) Obficie rozmnożone boleści twoje i poczęcia twoje. W boleści rodzić będziesz dzieci, a wola twa poddana będzie mężowi twemu, (nie-naturalnie) a on nad tobą panować będzie.
Wychodzą.

Scena IX

Wchodzi: Człowiek Cywilizowany i Dziewczyna, oboje złączeni ze sobą kajdankami. Dziewczyna ubrana w strój ludowy, charakterystyczny dla regionu, w który aktualnie wystawiana jest sztuka. Idzie za Człowiekiem Cywilizowanym drobnymi kroczkami, szeroko rozstawiając nogi.
Siadają przy stoliku naprzeciw siebie, opierając złączone kajdankami ręce na łokciach na stoliku. Człowiek Cywilizowany rozsypuje zapałki. Zaczynają układać z nich „studnię”. Kładą kolejno zapałki bardzo ostrożnie, aby nie zburzyć konstrukcji. Dziewczyna co jakiś czas mruga do Człowieka Cywilizowanego.

Wchodzi Mężczyzna. Może mieć psa na smyczy, koniecznie rasowego. Słuchać jakąś ostrą, elektroniczną muzykę.

MĘŻCZYŻNA

Bo ja, proszę pana czarodzieja, myślę że dla Amora jest tutaj za głośno. Myślę, że współcześnie można liczyć na strzałę z łuku „M” jedynie w zakamarkach miasta, chyba że, proszę pana czarodzieja, zastanowimy się nad koncepcją teleportacji w miejsca dostępne pół-ludziom, pół-aniółom. Ale, co tam... Z naszym okazałym zasobem cudowności jest to możliwe. (ze śmiechem) W takim wypadku życzę zakamarków i udanych teleportacji.
Wychodzi.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

*(ryczy) Cisza!
Muzyka cichnie.
Wchodzi Thanatos. Wyjmuje zza pasa rewolwer, ostentacyjnie zakłada tłumik.*

DZIEWCZYNA

(Uderza pięścią w stół i burzy konstrukcję) Pozytywka!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

*(ryczy) Pozytywka!
Słuchać przyjemną muzykę, charakterystyczną dla pozytywek.
Thanatos strzela do Człowieka Cywilizowanego. Dziewczyna lekko podskakuje na swoim krześle. Nic się nie dzieje.*

DZIEWCZYNA

(podekscytowana) Pajacyk szukał Celestynki. Błądził nad rzeką, popłakując cichutko.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(podnieconym głosem) A rzeka była bezlitosna dla rozżarzonych namiętności pajacyka: cyk, cyk – pluskała – cyk, cyk. Czas ucieka, minuty się starzeją i umierając zabierają kolejne strzały Amora.

DZIEWCZYNA

(smutnie) Pajacyk przestał zbierać koniczynkę. Usiadł zrezygnowany i schował twarz w dłoniach...

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(szybko przerywa) Ale, ale! Rezygnacja jest najgorszym wyborem z jadłospisu w restauracji Najwyższego!

DZIEWCZYNA

(radośnie) Słoneczko zastukało w głowę Pajacyka. Hej, hej – zawołało...

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(sapiąc) Miłość nie Godot, na pewno przyjdzie.

DZIEWCZYNA

Po drugiej stronie rzeki Pajacyk dostrzegł Celestynkę. Zbierała koniczynkę.
Podnosi się ze stołka. Zbliża twarz do głowy Dziewczyny.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

*(z diabelskim uśmiechem) Do najbliższego mostu nie było daleko!
Człowiek Cywilizowany ciągnie Dziewczynę za kulisy. Dziewczyna wierzga wesoło nogami.
Thanatos, do tej pory oślepiały, pada na ziemię, bezlitośnie szarpany epileptycznymi drgawkami. Toczy pianę z ust.
Przez scenę przebiega Kobieta z Dziećmi.*

KOBIETA Z DZIEĆMI

*(krzyczy) Pas devant! Pas devant!
Thanatos po kilku chwilach uspakaja się i wyczołguje ze sceny.*

S c e n a X

*Wchodzi mężczyzna. Ma błogi wyraz twarzy. Zamyślony siada na ławce. Myśli.
Wchodzi Człowiek Cywilizowany. Siada koło Mężczyny.*

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Był pan w toalecie?

MĘŻCZYŻNA

Tak, tak byłem...
Pojawia się Thanatos. Jest nieogolony, nieuczesany, roztrzęsiony. Ma ze sobą krzesło wędkarskie. Rozkłada krzeselko i siada w pobliżu. Cały czas głupawo gapi się na Człowieka Cywilizowanego.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Miejska?

MĘŻCZYŻNA

Miejska, miejska, czysta, jasna, niedroga, cicha...

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(złośliwie) Złote myśli rodzą się w ciszy.

MĘŻCZYŻNA

(nie wyczuwa drwiny) Nie złote, żalodne myśli, tragiczne refleksje.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Niech zgadnę – cztery zagubione ciekawostki: mądrość, męstwo, umiarkowanie, sprawiedliwość.

MĘŻCZYŻNA

I trzy relikwie: wiara, nadzieja, miłość...

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Wiara w sukces, nadzieja na awans, miłość luksusu...

MĘŻCZYŻNA

Aha, jeszcze pragnienie siódemki!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Co pan z tymi liczbami, siódemka? Święta, mistyczna, może krwawa?
Śmieje się głośno i ironicznie.

MĘŻCZYŻNA

(zniecierpliwiony) Upragniona siódemka: bezpieczna pycha, chciwość w czterech ścianach, słodziutka nieczystość, przezorna zazdrość, kojące obżarstwo, gniew – katharsis i filozoficzne lenistwo. To upragniona sprytna siódemka, gwarancja pełnej szczęśliwości, szczytny cel...

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(przerzywa mu) Czyj cel?

MĘŻCZYŻNA

(oburzony) Braci moich, sióstr moich, braci twoich!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(znów przerywa) Dobra, dobra, starczy. Pan z tych cnotliwych?

MĘŻCZYŻNA

Tak, z tych, a pan? *(prawie pieni się z gniewu)* Pan z tych dojrzałych?

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Nie, nie, ja z 77 ulicy, na rogu. A jeśli chodzi o cnoty, ha, fascynuje mnie Zuzanna, a jej cnoty, hm przepraszam: wdzięki, szczególnie Rembrandtowskie, to moje katharsis. Jestem liberałem.

MĘŻCZYŻNA

Bydlę! *(placze)* Bydlę!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Cicho synku, cicho.
Obejmuje Mężczyznę, głaszcze go delikatnie po głowie.

MĘŻCZYŻNA

(obrażonym, płaczącym głosem) Bydlę.
Zatroskany Człowiek Cywilizowany dalej głaszcze Mężczyznę i mocno przytula.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(krzyczy) Pozytywka!
Słychać dźwięki pozytywki. Mężczyzna powoli się uspakaja. Spogląda z wdzięcznością na Człowieka Cywilizowanego.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(cichutko skanduje)
Pozytywka cicha, słodka
Ukoi małego kotka.
Cicho, cicho mój maleńki,
Rozum nie jest aż tak wielki.
Do wieczora spokój będzie,
Cnoty były, są i będą wszędzie.

Wchodzi Kobieta z Dziećmi. Delikatnie bierze Mężczyznę za rękę i powoli wyprowadza go ze sceny.

KOBIETA Z DZIEĆMI

(cicho nucą)
Człowiek był i zawsze będzie.
Cnoty chwalił tu i wszędzie.

Kobiety cnotliwe liche, liche,
Przykazania takie ciche, ciche...
Wychodzą. Za nimi Człowiek Cywilizowany. Po chwili
zdeteminowany Thanatos wlecze się za kulisy.

Scena XI

Wchodzą: z lewej Człowiek Cywilizowany, Dziewczyna i Mężczyzna. Siadają przy stoliku. Dziewczyna ubrana w elegancką garsonkę. Z prawej wchodzi Dwóch Policjantów. Ubrani są w czerwone uniformy i mają ze sobą miotły. Przez cały czas będą zamiatać chodniki. Po chwili wchodzi Kobieta z Dziećmi. Zbliżają się do ławki, Kobieta potyka się i upada. Dzieci ze zmieszonymi wyrazami twarzy stoją obok.

KOBIETA Z DZIEĆMI

Niech ktoś poda mi dłoń!

POLICJANCI

Dłoń!

DZIEWCZYNA

Dłoń...

MĘŻCZYŻNA

Dłoń?

DZIECI

Pomocną dłoń? Niech ktoś poda jej pomocną dłoń.
Mija chwila. Wstaje Człowiek Cywilizowany. Niechętnie wlecze się w stronę Kobiety z Dziećmi. Z miną bardzo cywilizowaną podaje dłoń.

POLICJANCI

(nie przerywając pracy) Po chamsku! Podał jej dłoń po chamsku!

MĘŻCZYŻNA

(oburzony) Bydlę! Gbur! Podał jej dłoń po chłopsku! Kobiecie podał dłoń po chłopsku!

DZIEWCZYNA

(zdziwiona) Po chłopsku?

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(apodyktycznym tonem) Po Chrystusie.
Chwila ciszy.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Spokój! Wszystko już dobrze, przecież siedzi na ławce.

Kobieta z dziećmi siedzi już na ławce. Człowiek Cywilizowany wraca spokojnie na miejsce. Siada.

DZIEWCZYNA

(zadowolona) Czy zaczynamy? Wszyscy są...

MĘŻCZYŻNA

W powietrzu wyczuwa się brak!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Nie prawda. Każdy ma swoje miejsce, nic się dzieje. Możemy spokojnie porozmawiać.

MĘŻCZYŻNA

Nie tak łatwo, było małe zamieszanie.

KOBIETA Z DZIEĆMI

Właśnie, Pocieszono by mnie...

Dzieci kładą głowy na jej piersiach. Przytulają się mocno.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Przecież nic się nie stało, upadłaś tylko.

KOBIETA Z DZIEĆMI

Potknęłam się, zachwiałam, ale nie upadłam.
Wypraszam sobie!

DZIEWCZYNA

Co by to nie było, wyglądało komicznie! (śmieje się)

KOBIETA Z DZIEĆMI

(oburzona) Dziwka!

DZIECI

Och! (zatykają jej usta rękami)

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Drogie panie, proszę przestać. Jesteśmy na scenie wszyscy (chwila zamyślenia), wszyscy? Tak, wszyscy. Musimy dojść do porozumienia. Proszę się nie kłócić, nie denerwować. Tworzymy całość, dokładnie naszą rzeczywistość.

MĘŻCZYŻNA

(złośliwie) Plastyczną rzeczywistość.

DZIEWCZYNA

(ironicznie, zerkając w stronę Kobiety z Dziećmi)
Z przegniłymi, przeterminowanymi elementami...

Dzieci zatykają rękami usta Kobiety.

MĘŻCZYŻNA

Coś wam powiem *(zdeenerwowany)* On nami rządzi! *(Wskazuje na Człowieka Cywilizowanego)* On doskonale wie, że to plastyczna rzeczywistość, że może ją gnieść, rozciągać, bezczelnie macać...

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Synku... *(delikatnym głosem)* Synku...

MĘŻCZYŻNA

(nie zmieniając tonu) Papla w nas paluchy! Miesza, robi kuleczki. A jak chce, to nawet *(złowrogo)* walczy! My go w ogóle nie znamy. Nikt go nie zna!

DZIEWCZYNA

Ja go znam.

Mruga do Człowieka Cywilizowanego.

MĘŻCZYŻNA

Ty?

DZIEWCZYNA

Oczywiście, że ja. Znam go całutkiego: od pięt, po słabostki, każdy włoszek, każde drgnięcie, każde pikantne wynaturzenie...

KOBIETA Z DZIEĆMI

(odrywając ręce Dzieci od ust) Pas devent!

DZIEWCZYNA

Cicho, stara! Ale...

MĘŻCZYŻNA

(przerzywa jej) Nie, nie znasz go. Wszystko co ci wpakował do głowy to je go wyobrażenie o świecie, je go pomysły i je go zachcianki... Sama nie jesteś w ogóle! Jesteś taką plasteliną jak ja, oni i nawet oni! *(wskazuje na Policjantów)* Jego nikt nie zna. Wszyscy go ciągle mylimy – to właśnie jego śmierć musiała z kimś pomylić!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(marszczy brwi) Synku, mówisz tak, bo jesteśmy na scenie. Dlatego sięgasz po takie słowa. Mógłbyś chociaż spróbować synkretyzmu rodzajowego. I proszę *(znudzony)* skończ z tą plasteliną. Mieliśmy rozmawiać o poważnych sprawach. Zauważ: jesteśmy wszyscy. Nie marnujmy czasu.

MĘŻCZYŻNA

(wstaje i podchodzi do Dziewczyny) Śmierdzisz! *(syczy)* Śmierdzisz plasteliną! Ja też śmierdę *(placze)*. I wszyscy śmierdzimy plasteliną... Plastelina! Plastelina! *(ryczy)* Wszyscy, tylko nie on, nie on... Nie on jest Plastusiem!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(coraz bardziej znudzony) Bo ja, chłopcze, umyłam dłonie.

MĘŻCZYŻNA

Właśnie! Tak! On ma dłonie, dłonie! A my ręce: plastelinowe, cuchnące ręce. *(placze, krzyczy, zwirował)* Jestem Plastuś! *(skacze)* Plastuś, Plastuś!

KOBIETA Z DZIEĆMI

(wstaje nagle) Ja stąd idę!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(ryczy) Siedzieć!
Kobieta z Dziećmi siada

DZIEWCZYNA

Boję się, boję...

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(wstaje) Coś trzeba z nim zrobić, bo mi się Kurczątko przestraszyło. Tylko co?
Podchodzi do Mężczyzny, łapie go wpół i całuje w czoło.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Cicho synku, cicho, uspokój się...
Mężczyzna przestaje skakać.

DZIEWCZYNA

(nieśmiało) Może pozytywka?

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

(zadowolony) Tak, to jest myśl. *(ryczy)* Pozytywka! Słuchać dźwięk pozytywki. *Mężczyzna uspakaja się. Człowiek cywilizowany puszcza go i wraca na swoje miejsce. Kobieta z Dziećmi podchodzi do Mężczyzny i delikatnie prowadzi go w stronę ławki.*

KOBIETA Z DZIEĆMI

(razem nucą)
Pozytywka cicha, słodka
Ukoi małego kotka.
Za dużo tu głupiej trwogi,
Nic nie zmieni twojej drogi.

DZIEWCZYNA

Niech ona się zamknie.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Już dobrze, wszystko wraca do normy. Nie boi się już moje kurczątko?

DZIEWCZYNA

(piszczy zalotnie) Nie.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Zaczynam obawiać się, że nie dojdziemy do porozumienia.
Pozytywka cichnie. Widać przerażenie w oczach wszystkich. Zamierają w bezruchu.

KOBIETA Z DZIEĆMI

Co będzie? Co my zrobimy?

DZIEWCZYNA

(przerażona) Nie możemy iść przecież w swoje strony, tu są nasze miejsca .

MĘŻCZYŻNA

Nie chcę być sam, nie umiem!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Co mam zrobić? Jesteście mało reformowalni, żadni z was liberałowie.

DZIEWCZYNA

Zapominasz o koniczynie?!

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Ty się nie bój, ty jesteś podatna...

**POLICJANCI, MĘŻCZYŻNA,
KOBIETA Z DZIEĆMI**

(razem) A my, a my?

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Wy nie możecie. Idźcie już, koniec spektaklu. *Policjanci, Kobieta z Dziećmi, Mężczyzna z opuszczonymi głowami wychodzą.*

DZIEWCZYNA

Co robimy?

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Chodźmy, łykniemy przyszłości .
Wesoło wychodzą.

S c e n a X I I

Na scenę niepewnym krokiem wchodzi Thanatos. Wygląda okropnie: niedopięta koszula, posiwiałe, tłuste i rozczochrane włosy. W ręce trzyma sznur. Podchodzi do drzewa, wzdychając wchodzi na ławkę. Zawijuje sznur, zaczepia o gałąź, pętlę wkłada na szyję. Płacze, z rozpaczą wyrywa sobie włosy z głowy. Jeszcze jedno otarcie łez i szybki skok z ławki. Trzask! Thanatos umiera. Z dłoni wypada mu pęk wyrwanych włosów. Słuchać przejeżdżające niedaleko samochody. Zwyczajny dzień.

Od strony parku wchodzi Człowiek Cywilizowany. Oczywiście nie widzi wiszącego Thanatosa. Zauważa natomiast pęk włosów. Podnosi go z obrzydzeniem i wrzuca do kosza stojącego obok ławki. Odwraca się do publiczności.

CZŁOWIEK CYWILIZOWANY

Jeśli już tu jestem, powiem tylko jedno. Poczciwy Twain miał rację *(spogląda z obrzydzeniem do kosza)*: człowiek to jedyne zwierzę, które się rumieni i jedyne, które ma za co.

KURTYNA

NOWY XERO PAPIER

Po długiej przerwie ukazało się w Częstochowie nowe pismo. Jest to magazyn wspólnoty komiksowej „społem”. Wydali go hip-hopowcy: DJ Haem i niejaki Krowa, znani m.in. z hip-hop party i wlepek. Gazetka ma 4 strony formatu A-5 (xero) i zawiera, jak podtytuł wskazuje, 3 komiksy dosyć różnych lotów, wykonane techniką szablonu. Historyjki dresiarские dosyć zabawne (satyra na środowisko?), natomiast „Rotkapchen” makabrycznie fatalne (wilk wyrywa Czerwonemu Kapturkowi serce i je zjada). Kolaż tekstowy na końcu zupełnie bez sensu. Zastanawia mnie tęsknota młodzieży za czasami Gierka, że niby wtedy było tak fajnie. Tak się właśnie rodzą nowe mity i „rośnie nam nowa świecka tradycja” – powiedziałaby S. Bareja. Dobrze, że coś robią. Niech i to pokolenie buntowników zostawi po sobie jakiś ślad.

WIECZÓR ZA WIECZOREM

Maj i czerwiec stał w OPK „Gaude Mater” pod znakiem poezji. Praktycznie co tydzień odbywała się promocja nowego tomiku wierszy. Ostatnio dużo się tego u nas drukuje. Mogliśmy wysłuchać Ryszarda Sidorkiewicza („Wiersze z rymami i bez”), Małgorzaty Matery („Kudły moje”), Edyty Załęckiej („Nokturn ciszy”), Krzysztofa Seweryna Wrońskiego („Trzecie rozdanie”). Zasadą już się staje udział aktorów naszego teatru w promocjach poetyckich, dzięki czemu mamy profesjonalny przekaz tekstu, a, jak wiadomo, autorzy nie zawsze potrafią ciekawie zaprezentować swoje utwory. Największą publiczność zgromadziła chyba Edyta Załęcka, być może ze względu na swoją atrakcyjność i „foniczność” (dziennikarka

radia RMF FM), a może jej poezje rzeczywiście są takie dobre. Aż strach pomyśleć, ile tomików będzie w przyszłym roku... Frekwencja publiczności skłania mnie do wniosku, że wiersze mogą jeszcze być magnesem przyciągającym ludzi do sal ze świeczkami.

W MUZEUM WYOBRAŹNI

Na Parkitce przy ul. Oławskiej otwarto 25 maja „Muzeum Wyobraźni”. Właściwie jest to galeria malarstwa i rzeźb Tomka Sętowskiego. Nazwa tłumaczona jest związkami twórczości artysty z surrealizmem (czy też realizmem magicznym), który opiera się właśnie na grze wolnej wyobraźni. Budynek jest ładnie urządzony, szczególnie wrażenie robi wmontowane między obrazy duże akwarium z tropikalnymi rybami. Część płócien można oglądać przy świeczkach, co nie jest najlepszym pomysłem, gdyż umykają szczegóły, z których prace są zbudowane. Na piętrze mieści się pracownia Tomka, też raczej do zwiedzania. Jak pisze Jakub Malke: „W Muzeum Wyobraźni będziecie mogli Państwo zobaczyć najnowsze prace artysty, ponadto ma ono stać się miejscem spotkań czołowych i tych dopiero rozkwitających gwiazd polskiej sztuki, muzyki, teatru”. Są więc nadzieje, że w przyszłości cyklicznie będą się tam odbywały ważne imprezy artystyczne i będzie to ważny punkt na mapie miasta (obok galerii Lonty-Petry). Warunki ku temu są, bo jest scena i miejsce dla publiczności. Na otwarciu widzów uraczono niekonwencjonalną muzyką bębnową. Dobrze, że Sętowski i Wojciech Bajda (mecenasa) otworzyli galerię tutaj, a nie np. w Zakopanem. Czy inni artyści też otworzą swoje galerie? Ciekawym podaję jeszcze adres interesujących i nagradzanych stron internetowych Tomka (prawie 9000 odwiedzeń), autorstwa Huberta Hetmańczyka: www.setowski.art.pl

NADZIEJE MŁODYCH

Kontynuacją wystawy „Artyści Częstochowy XX wieku” była otwarta w czerwcu Prezentacja Twórczości

Młodych „Nadzieje Plastyczne Częstochowy”. Miała ona pokazać, jaki potencjał drzemie w młodym (do 30 lat) pokoleniu twórców, i jakie możemy mieć nadzieje na przyszłość. Z wybranych 225 prac wyróżniono te autorstwa Julit Chrzastek, Agaty Gabor i Anny Górskiej, które będzie można obejrzeć wkrótce na wystawach indywidualnych w MGS. W większości zakwalifikowano prace studentów WSP i kilku innych uczelni artystycznych i, być może dlatego, pokaz był nieciekawym, nierównym, mało odkrywczym, akademickim. Nie dopatrzyłem się tam żadnej oryginalnej osobowości artystycznej. Być może dla wielu jest jeszcze za wcześnie na urządzenie takich wystaw. Idea jest dobra i mechanizm promocji powinien zadziałać, warto też powtarzać w przyszłości takie pokazy. Pamiętkowy katalog i organizacja bez zarzutu. Jednak jestem rozczarowany, bo młode pokolenie plastyków nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Może się mylę.

Moją uwagę zwróciła praca Arkadiusza Kozaka pt. „Dyskotekowy zestaw zabawkowy” ze względu na swoją niekonwencjonalność. Niestety, ogólnie króluje przerost formy nad treścią. Na przyszłość proponowałbym przyjmować plastyków debiutujących, bo ci młodzi już uznani i tak sobie poradzą. Do następnego pokazu!

KSIĄŻKI

Anegdota mówi, że w Antykwarni Z. Biernackiego spotyka się przyszły rząd III RP. Tym razem przy ul. Kopernika 4 dnia 25 maja można było porozmawiać (i zdobyć autograf) z wiceministrem drem Januszem Radziejowskim, absolwentem LO im. Traugutta w Częstochowie. Zainteresowania prywatne, a także zawodowe łączą go z Jurą Krakowsko-Częstochowską. Minister rozwiął nadzieje mieszkańców Jury na utworzenie w okolicach gmin Olsztyn i Janów Częstochowskiego Parku Narodowego, więc ci ostatni muszą się

zadowolili istniejącymi rezerwatami przyrody. O jedną ulicę dalej, w Wydawnictwie WSP, wydano „Encyklopedyczny Słownik Regionu Częstochowskiego” (autorzy: Bogdan Snoch i Stanisław Podobiński), który może się stać kolejną niezbędną książką w biblioteczkę każdego częstochowianina. Słownik napisany jest przystępnie, skierowany do przeciętnego czytelnika. Tom I ma 170 stron.

Tadeusz Gierymski zapowiedział wydanie swoich zebranych „Zapiszków o świcie”.

O najnowszej sadze Mariana Rawinisa piszemy w bieżącym numerze.

SAXOFONISTA

„Teatr from Poland” (J. Filipiński and W. Kowalski) działa w tym sezonie dosyć aktywnie. 21 czerwca miałem okazję oglądać w „Prohibicji” premierę najnowszego spektaklu pt. „Saxofonista”. Sztuka jest hołdem dla Jerzego Stuhra, z którego ról i filmów zmontowano poszczególne skecze. Całość jest powiązana sytuacją starań aktora-amatora o rolę w popularnym programie TV. Aktor pokazuje co umie, lecz są to niestety tylko pastisze znanych wszystkim gagów i ostatecznie roli nie dostaje. Mamy tu satyrę na idoli TV, dziennikarzy-paparazzich, globalizm, beznadziejność polskiego kina, apoteozę prowincjonalizmu (żałosny dźwięk saksofonu!). Zręczny kolaż podobał się jednak publiczności, gdyż Wojtek Kowalski potrafi rozbawić do łez, a widz mógł próbować odgadywać znane z ekranu motywy. Aktorzy nie odchodzą od formuły teatru, którą wypracowali przez lata i nadal prezentują teatr jakby zawieszony w trakcie próby, podczas tworzenia, ocierający się o autotematyzm. Przykład „klasycznej postmodernistycznej dekonstrukcji” podlanej sosem rubasznego humoru. Chyba „Teatr from Poland” pełni nadal rolę środowiskowego zlewu, do którego spływają wszelkie ludzkie frustracje, dzięki czemu na jego przedstawieniach każdy widz może odnaleźć cząstkę siebie. ■

PROTEST

Wielokrotnie podnosiliśmy na łamach naszego pisma problem infantyilizacji i komercjalizacji kultury. List, którego fragmenty drukujemy, dotyczy co prawda sytuacji w radiowej „Trójce”, ale w pełni oddaje istotę obserwowanego powszechnie upadku ambicji i kompetencji w mediach.

Redakcja

List otwarty do Przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Pana Juliusza Brauna

Szanowny Panie Przewodniczący!

(...) Jako **pasjonatka radia**, jego stała i wieloletnia słuchaczka, a zwłaszcza Programu III, pozwalam sobie na kilka krytycznych uwag **do ostatnich zmian tam zachodzących**.

Program III PR powołany do życia przed 38. laty, był antidotum dla kultury (przy)ma(mu)sowej i siermiężno-przaśnej rzeczywistości PRL.

Do niedawna pozostawał na odpowiednio wysokim poziomie, by zadowalać wymagającego, wrażliwego, myślącego, słowem – inteligentnego słuchacza, dla którego de facto zaistniał.

Zwłaszcza **ostatnie dwa lata (styczeń 1998 r. – czerwiec 2000 r.)** były **przykładem perfekcyjnie złożonego i dokładnie przemyślanego programu, koniecznie do potrzeb czasu skomercjalizowanego i zdynamizowanego**, co jednak **nie ujmowało niczego z jego artystycznego poziomu, łącząc przyjemne z pożytecznym. Znakiem firmowym był profesjonalizm najwyższej próby**.

Program podzielony na jednoodrodne bloki: informacyjne, publicystyczne, polityczne, muzyczne, kulturalne i sportowe **dopracowany był do ostatniego oddechu**. Natomiast **przy-pisanie poszczególnych jego pasm do**

prezenterów, dawało szansę natychmiastowej **identyfikacji** tego, czego aktualnie słuchamy.

Między audycjami były: bieżące **informacje o patronacie medialnym** najbardziej reprezentatywnych imprez w kraju, za które – nomen omen – nagrodę odebrał nie twórca, a jego następca; **dowcipne, „myślące”**, często zmieniające się **reklamy; zapowiedzi happeningów** towarzyszących Trójce, które świetnie ją popularyzowały; **informacje o koncertach**, tak w salach całego kraju (i unikalne, bezpośrednie ich transmisje), jak i Studiu im. A. Osieckiej (gdzie pojawiali się najznakomitsi wykonawcy polscy i zagraniczni, tworząc niepowtarzalną atmosferę koncertów na żywo). Towarzyszyła temu nieoceniona formuła rozprowadzania wśród słuchaczy pewnej ilości bezpłatnych zaproszeń. Zawsze z dbałością o zachowanie pełnego szacunku wobec słuchacza.

Ubiegłoroczne czerwcowe **zmiany na stanowisku dyrektora tej stacji**, sprawiły, że w chwili obecnej Program III ulega niepokojącym przeobrażeniom, **dramatycznie obniżając swoje loty** i przeistacza się z dnia na dzień **w trudny do zdefiniowania chaos i pozbawiony gustu szum (dez)informacyjny**. Zatraca nieodwracalnie swoją tożsamość, lawinowym trwonieniem wieloletniej jej tradycji (**wszak tradycja to proces kulturowy**) **zarzynając powoli**, za to wyjątkowo skutecznie – kulturę przez duże „K”, której był antenową enklawą.

Pauperyzacji programów towarzyszy **świadome deprecjonowanie autorytetów**, w efekcie **prowadzące do kompletnej antenowej degrengolady**.

Uzasadnienie odwołania poprzedniego dyrektora Trójki, Pana P. Kaczkowskiego, cytowane przez prasę, nie ma nic wspólnego z prawdą, a **koronny argument o spadku słuchalności potwierdza cynizm** tych, którzy sprawując władzę, szukali kija, by uderzyć psa („Rzeczpospolita”, „Życie” z dn. 21–22.06.2000 r.). Owa spadająca słuchalność w mo-

mencie odwołania dyrektora P. Kaczowskiego **wynosiła 13,5%**. Jej spadek stał się naturalnym efektem, zmiany częstotliwości fal z niskiej na wysoką w styczniu 2000 roku, a nie ułomności programowej.

W chwili obecnej słuchalność **wynosi jedynie 5% i nadal spada**, ale to temat tabu! Natomiast **histeryczne tempo ciągłych zmian ramówek, odzwierciedla rozpaczliwe miotanie się twórców nowych niemożliwości** i bardzo źle rokuje.

Na czym polega cała dotychczasowa „rewolucja” nowego dyrektora Trójki P. M. Olszańskiego i jego **heroiczna „walka” ze spadkiem słuchalności oraz rzekome „poprawianie” jej wizerunku?**

Polega na: **likwidacji** sprawdzonych, dobrych i lubianych od lat programów (np. Muzycznej Poczty UKF, W Tonacji Trójki, Pod dachami Paryża, Gitarą i Piórem, Książki tygodnia, Niech gra muzyka); **skracaniu innych** (np.: Puls Trójki, Trzy Kwadransy Jazzu, Połówka Perfekcyjnej Płyty, Powtórka z rozrywki, Zagadkowa niedziela); **zmianie ich pasm czasowych** (np.: Magazyn Bardzo Kulturalny, Puls Trójki, Wrzuc Trójkę, Trójkowy Ekspres, Przychodzi Dobroń do lekarza, koncerty w Studio im. A. Osieckiej); **zmianie nazw** (Trójkowe Forum Niepełnosprawnych na Nieobojętnych); **wprowadzaniu** bardzo wątpliwych kulturowo i kulturalnie **pomysłów** (np.: Trzymaj z nami, Trzeci do pary, Bardzo Ważna Osoba, Strefa odkrywkowa, Zgaduj Magdula) oraz **nużących, wielokrotnych powtórkach**. Także na **blokowaniu opinii krytycznych słuchaczy** tak w Poczcie Trójki, jak i pozostałych audycjach.

Dlatego Pan Michał Olszański, ostatni „reformator” Trójki, powinien pozostać nadal jej poprawnym dziennikarzem sportowym, którym był do chwili powołania na funkcję dyrektora. Jego krótko trwające doświadczenie w komercyjnym, **lokalnym** Radio Kolor, wyraźnie nie predystynuje go na to stanowisko.

Po półrocznym okresie przyzwyczajania się do „nowego”, arcymarynego jej wizerunku, wprowadzane są kolejne zmiany czasu emisji, „nowych” i tych „starych”, programów – znów okrojonych, przerzuconych w inne pasmo czasowe.

Na pytanie – po co – nie ma odpowiedzi, ponieważ nie zna jej nawet sam genius loci, czyli nowy dyrektor Programu III PR.

Prowadząc schizofreniczną zabawę w ciuciubabkę ze zdezorientowanym, **ciągle jeszcze wiernym słuchaczem prawdziwej Trójki**, zafundował im niestrawny cocktail z mieszanki „Milionerów”, XYZ, tok-szoków różnej proveniencji, pure-nonsensu oraz wszechobecnie szerzących się manii (Umeromania, Wasomania, Mannomania, Jethonomania, czy ostatnio gigantyzowana Markomania, gdzie do pełnego zestawu tutti frutti brakuje tylko porad seksualnych), dzięki czemu słuchacz tkwi w horrendalnym nieporozumieniu, **nie wiedząc którego radia naprawdę słucha** (Trójki? Radia Zet? RMF FM? Jedyński?).

W atmosferze skandalu powstała w styczniu antenowa hybryda, czyli Śniadanie w Trójce i taka atmosfera towarzyszyła odejściu patronki Salonu Politycznego Trójki, Pani Moniki Olejnik. Wypowiedź dyrektora M. Olszańskiego komentująca zgodę na odejście Niekwestionowanej Gwiazdy, udzielona „Obliczom mediów” w Pr. 1 TVP, dn. 10.01.2001 r., jest przykładem skrajnej hipokryzji.

A rychłym **skutkiem ubocznym Umeromanii** będzie konieczność powołania Ogólnoludzkiego Komitetu Obrony Kabaretu Starszych Panów przed Magdą Umer, ponieważ **chorobliwie** nicuje to, czego nicować już **NIE WOLNO!!!**

Wszystko co było **synonimem kompetencji, klasy, wyrafinowanego intelektu i perfekcjonizmu**, zostało zastąpione **niechlujstwem, nieuzasadnioną pewnością siebie, pyszałkowatym samochwalstwem, cynizmem, ignorancją, nonszalancją, a nawet arogancją**. A wszechobecną, „zakręconą” młodzieżową nowomową przekonuje się wiernego słuchacza prawdziwej Trójki, że **istota naszych czasów polega na rozwoju hamburgerowej subkultury**.

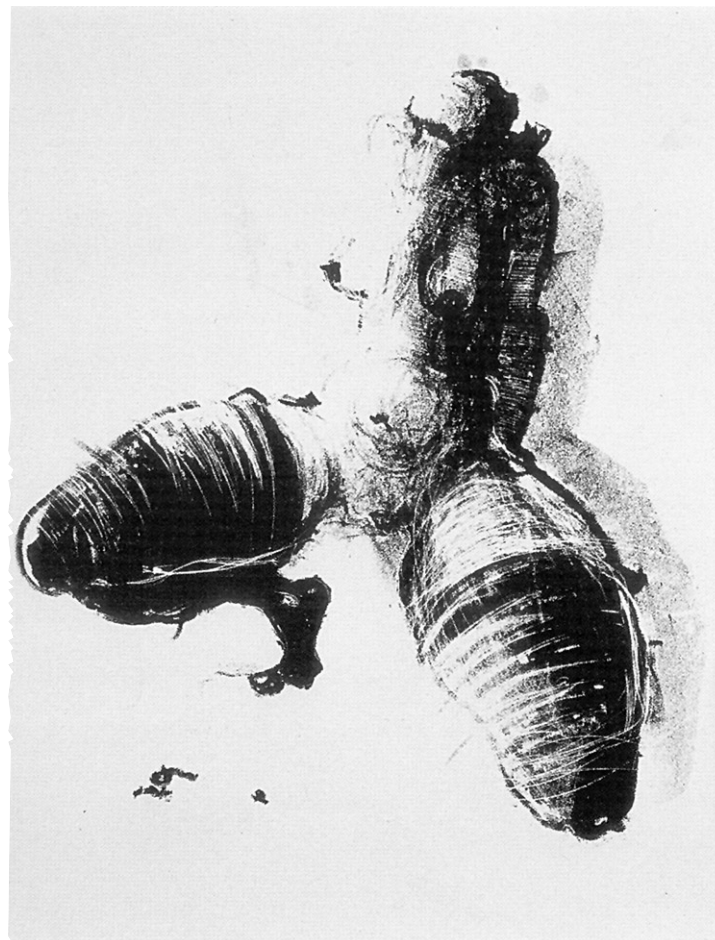
(...)

Pragnę podkreślić jednocześnie, że z największym szacunkiem odnoszę się do tych dziennikarzy, którzy – jednak – bronią swej indywidualności, mimo okaleczania ich programów. Niniejszym bardzo Im za tą postawę dziękuję.

Z poważaniem

Joanna Grochowska
Częstochowa, 2001.04.20.

Renata Banaś, „Ekstaza”, 2001 r., litografia, papier



TRZY WYSTAWY W MIEJSKIEJ GALERII

Trzy wystawy otwarte 6 czerwca br. zgromadziły na wernisażu takie tłumy, jakich dawno Miejska Galeria Sztuki nie widziała. Cieszyć się mogli autorzy ekspozycji indywidualnych, uczniowie profesora Jerzego Dudy-Gracza: Leszek „Maestro” Żegalski oraz Renata Bonczar z Katowic¹. Jednak te tłumy przyszły przede wszystkim na trzecią wystawę – „Nadzieje plastyczne Częstochowy”. Ale po kolei.

Maestro Żegalski lubi prowokować. Jego katalog dostępny w galerii zawiera dobrze namalowane, piękne, realistyczne pejzaże. Na wystawie zgromadzone są duże płótna figuralne. Malowane pewnie, mocno. Przez kogoś, kto jest przekonany o swych umiejętnościach.

Apokalipsa ostrzega przed letniością. „Bodajbyś był zimny albo gorący...” Nie wiem, czy te właśnie słowa wziął sobie do serca „Maestro”.

Czy prowokacje artysty odnoszące się do sfery religijnej, sfery sacrum – są wyrazem jego osobistego doświadczenia, nawet wadzenia się z Bogiem czy tylko chęcią szokowania widza, dotykania czułego – dla wielu – punktu. Błuznierstwo może mieć głęboki wymiar religijny. Może być przejawem poszukiwań i walki kogoś, komu nie jest wszystko jedno.

W każdym razie, nie oceniając motywów jakie kierują konkretnym artystą – trudno przecież zaakceptować bez zastrzeżeń publiczne ekspozowanie dzieł, które dotyczą boleśnie tego, co święte, stwarzając choćby pozór lekceważenia czy kpiny. Nawet gdyby to miała być w zamierzeniu tylko polemika z płycizną niektórych zewnętrznych przejawów religijności – drastyczność i bezpośrednie odniesienie już nie do form, lecz do samej istoty, budzi sprzeciw. Wolność ar-

tysty dramatycznie zderza się z wolnością odbiorcy, a przynajmniej – wielu spośród odbiorców.

Jednak na obecnej wystawie powyższego problemu nie dostrzegłem. Wprost przeciwnie, te spośród obrazów, które nawiązują do treści religijnych, jeśli prowokują – to do myślenia. Jezus w Nowym Jorku. Młody mężczyzna, jeden z wielu przechodniów. Wychodzi ze stacji metra. Nie ma tu ostrego ekspresjonizmu Ensora z jego „Wjazdu Chrystusa do Brukseli”, satyrycznego podejścia do współczesnego artysty społeczeństwa. Jest – niemal fotograficzny – wycinek zwykłego życia wielkiego miasta. Przypadkowi przechodnie stają się aktorami dramatu codzienności. Wejście Boga w ludzką zwyczajność, w ludzki świat, także w ludzką nędzę. Wcielenie, tajemnica chrześcijańskiej wiary znajduje tu szczególnie silny wyraz.

Ów Człowiek wyodrębniony jest aureolą – ale nie światłem, tylko kołem czerwieni – jakby znakiem Ofiary. Czerwień – kolor miłości. Podobnie wyodrębniony spośród wielu jest ten Mężczyzna – Chrystus, gdy widzimy Go przez szybę McDonalda jak spożywa firmowy posiłek. I tu zwraca uwagę zdecydowanie i pewność kształtowania obrazu, co w połączeniu z dużym formatem potęguje wrażenie jakiejś monumentalnej zwyczajności.

Sposób pokazania Chrystusa, dla niektórych może jeszcze trudny do zaakceptowania, odległy od przyzwyczajzeń do tradycyjnego malarstwa religijnego – ale przecież kontynuujący niektóre jego nurty. Wszak umiejscowienie ewangelicznych scen w kontekście współczesnym artysty nie jest wynalazkiem obecnych czasów. Jest to również sposób zgodny z naszą wrażliwością, a przy tym w niczym nie uwłacza godności Tego, który przecież sam stał się człowiekiem – i to człowiekiem ubogim.

¹ Żegalski po pobycie w Niemczech mieszka obecnie w Eupen w Belgii.

Drugą grupę pokazanych na wystawie obrazów tworzy galeria postaci znanych z kultury popularnej i ludzi, których można spotykać codziennie na ulicy – także kalekich. Zwyczajność, bieda ludzka – podniesione do monumentalności. Użycie płócien nienaciągniętych na blejtramy, ale swobodnie zwisających, nie jest tu zabiegiem przypadkowym.

Niektóre obrazy w sposób czytelny nawiązują do twórczości Jacka Malczewskiego. Malarstwo to nie jest żadną świętością, choć i jego szarżowanie może kogoś oburzać. Postaci z obrazów Malczewskiego w interpretacji Żegalskiego wykonują nieprzystojne gesty, ukazują swoją – przynajmniej w mniemaniu „Maestra” – napuszczoną pustkę. Cóż, taki los artysty. Dla jednych – jeden z najwybitniejszych, dla innych – przedmiot kpiny. Zresztą jedno drugiego nie wyklucza. Z czasem i ci, którzy stali się przedmiotem kpiny i sami kpiarze – wchodzą do skarbcza kultury, nabierają muzealnego dostojeństwa. Oczywiście nie wszyscy tego zaszczytu dostępują. Ale „Maestro” swoją kpina sięga głębiej. Dotyka samego aktu tworzenia, mitu malarza tworzącego pod wpływem natchnienia. (Taki właśnie tytuł – „Natchnienie artysty” – ma ów obraz.) Odwołuje się też do dzieł innych artystów w postmodernistycznych cytatach i własnych interpretacjach. Można na przykład dostrzec odniesienia do „Dziwnego ogrodu” Mehoffera.

W alegorycznych i symbolicznych przedstawieniach wraca Żegalski do ciągle żywego dzieciństwa, jak również sięga do gwałtownych przemian współczesności, wyrażając je w sugestywny sposób. Jest wreszcie kpina z komercjalizacji sztuki, a także – można by powiedzieć – sprzedajności artystów („Mona Lisa”), z sytuacji, gdy wszystko staje się towarem, służy konsumpcji, gdy pieniądź staje się najwyższą wartością.

Kobieta u Żegalskiego, nieraz naga lub w niekompletnym odzieniu, gdy stanowi sama w sobie temat dzieła, malowana jest z powagą – czy są to pełne wyrazu: „Portret M.”, „Portret matki” – czy „Małżonka naga”. Choć sposób ukazania tej ostatniej można by odbierać również jako swego rodzaju prowokację.

To rasowy malarz z bardzo dobrym warszta-tem. Malarz, któremu o coś chodzi.

O pożytkach bywania na wernisażach miałem możliwość przekonać się nie raz. Przy tej okazji artyści wystawiający swe prace bywają odpytani na ich temat. Tak było i tym razem. Wobec

tego ułatwię sobie zadanie, posługując się usłyszaną wypowiedzią. Obrazy Renaty Bonczar są próbą ukazania – poprzez symbole – wewnętrznego świata artystki. Labirynty, ściany, kamienie, szczeliny. Symbolika jaja. Miłość do natury. Żywioty. Fascynacja dawną architekturą.

Gdyby doszukiwać się tego, co poszczególne uczniowie przejęli od profesora, można by powiedzieć, że w przypadku Żegalskiego jest to przekora i upodobanie do prowokacji – choć w malarstwie Mistrza przejawiały się one bardziej w sferze społeczno-obyczajowej. Natomiast u Renaty Bonczar – to raczej doświadczenie samego sposobu nakładania farby, w dużych fragmentach nanoszonej cienką warstewką, przez którą prześwieca biel podkładu z wyraźnym śladem pędzla. Obrazy Renaty Bonczar znajdują pewne pokrewieństwa na gruncie częstochowskim. Byłyby to może niektóre prace Sabiny Lonty (u tej ostatniej z większą dozą liryzmu), a także – częściowo – Lecha Leddeckiego.

Wśród eksponowanych obrazów zwraca uwagę duży poliptyk z cyklu „W poszukiwaniu zaginionych miast” – w ograniczonej gamie barwnej, budujący napięcie od pełnego światła do niemal całkowitej ciemności.

I wreszcie trzecia wystawa, na piętrze – dla wielu wernisażowych gości główny powód przybycia. 79 autorów plus krewni i znajomi. To dobry sposób na wypełnienie wystawowych sal. Sam pomysł jest świetny, a odzew świadczy optymistycznie o zainteresowaniu sztuką u młodego pokolenia. Przyjęto zasadę, że dopuszczeni zostali wszyscy, którzy zgłosili udział. Kryterium był wiek oraz wykształcenie (ukończone przynajmniej liceum plastyczne). Formą wyróżnienia przez jury stała się po pierwsze ilość pokazanych prac. Następne wyróżnienie – to umieszczenie w katalogu barwnej reprodukcji. Tego honoru dostąpiło 28 osób. I główne nagrody: trzy wystawy indywidualne i jedna zbiorowa ekspozycja wyróżnionych. Pomysł dobry, a korzyść podwójna. Nagrodzeni czują się nobilitowani (wystawą indywidualną w poważanej galerii!) i zmobilizowani do pracy, a galeria za jednym zamachem ma na przyszły rok parę – miejmy nadzieję ciekawych – wystaw. Zapowiedziano również kontynuowanie tegorocznej inicjatywy – przeglądu twórczości plastycznej młodych.

Jak zwykle – przeważa malarstwo (miedzy innymi Anita Gałkowska, Magdalena Siejko, Agnieszka Kwapisz, Agata Muskalska, Alina Wiczorek). Ale jest też reprezentowana grafika

(Adam Markowski, Agnieszka Giec, Renata Banaś, Judyta Banaś, Izabela Kita i inni), rysunek (Magdalena Nowak, Paula Włodkowska), rzeźba (Agnieszka Leśniak), formy przestrzenne, ceramika (Michał Puszczynski), projektowanie (Julita Chrząstek) oraz instalacje. Fotografie reprezentuje Bazyli Ogiński zdjęciami jak do National Geographic. Są młodzi absolwenci częstochowskiej WSP i różnych Akademii w kraju. Są studenci uczelni częstochowskiej i ASP oraz inni młodzi twórcy – absolwenci liceów plastycznych, ci, dla których jest to pierwszy publiczny występ i tacy, którzy mają już poważny dorobek wystawowy, jak Arek Zając, rozwijający zainteresowania fantastyką i upodobanie do secesji, co dobrze się łączy w stylistyce postmoderny.

Widać wyraźne fascynacje mistrzami i poszukiwanie własnej drogi. Są solidne rysunkowe studia modela, obrazy abstrakcyjne i figuralne, pejzaż i martwa natura, drapieżna ekspresja i liryka. Są obrazy dużych formatów i kameralne, jak ta, skromnie w kąciaku, mało widoczna, a zasługująca na uwagę – także pod względem kolorytu – futurystyczna maszynaria Małgorzaty Miziołek. Młodzi artyści niejednokrotnie wypowiadają się równolegle w różnych dyscyplinach sztuki, przy czym bywają to wypowiedzi niejednorodne; zmiana środków powoduje jakby zmianę myślenia, a może raczej autor próbuje różnych rodzajów wypowiedzi artystycznej, by znaleźć te najbardziej mu odpowiadające. Przykładem mogą być prace Joanny Zeler: obok projektowania i malarstwa – misterna, pełna wymowy rzeźba, która w połączeniu z fotografią tworzy instalację. Nagrodzone malarstwo to prace Anny Górskiej, absolwentki krakowskiej ASP: dramatyczne, każące myśleć o masowych zbrodniach czasów wojny i o losie człowieka. Laureatką w dziedzinie malarstwa jest też Anna Gabor, studentka I roku ASP we Wrocławiu. Jej „Katedry”, widziane z żabiej perspektywy, pną się wzwyż zgeometryzowanymi formami, które żyją kolorem i światłem.

Julita Chrząstek, studentka V roku ASP w Poznaniu, otrzymała nagrodę za projekty mebli.

Gdy chodzi o aranżację, to wątpliwości mogą budzić niektóre zestawienia prac, nieułatwiająca ich odbioru, nadmierne wyeksponowanie

słabszych obrazów kosztem bardziej interesujących. Nie wiedzieć czemu podłogę posypano gdzieś żółtym piaskiem. Jednak ogólnie wystawa robi dobre wrażenie. „Najważniejsza jest różnorodność” – powiedział Bartosz Frączek. „Ze sztuką w Częstochowie nie jest źle!” Wykładowcy tutejszego Instytutu Plastyki WSP – Uniwersytetu Częstochowskiego in spe – byli zadowoleni i w rozmowach tego nie kryli. Nawet tak wymagający wobec siebie i innych Andrzej Desperak czuł się podniesiony na duchu. A co ma do powiedzenia komisarz wystawy?

Piotr Głowacki: Jest to kolejne wspólne przedsięwzięcie zainspirowane przez Ireneusza Kozere, Naczelnika Wydziału Kultury, i co ważne znów udane. Pierwszym była duża zeszłoroczna wystawa „Artyści Częstochowy XX wieku”; miałem zaszczyt być komisarzem (koordynatorem) tych dwóch wystaw razem z innymi osobami z naszego życia kulturalno-artystycznego.

Po obecnej wystawie Częstochowa ma już inne środowisko, poznaliśmy nowych, ciekawych twórców biegle wypowiadających się w malarstwie (Agata Gabor, Anna Górńska), rzeźbie (Agnieszka Leśniak), ceramice i fotografii. Najistotniejsze jest, że czynią to – moim zdaniem – w pełni indywidualnie i z powodzeniem, co – mam nadzieję – zaowocuje w przyszłości. Wszyscy, którym bliska jest w naszym mieście plastyka są zadowoleni, że „rodzina” się powiększa, a życie miasta ma takie formy jak wystawy. Właśnie takie jak ta.

– Jakie masz plany?

P.G.: Będę być może komisarzem podobnej przeglądowej wystawy dotyczącej częstochowskich grafików i ogólnopolskiego konkursu dla młodych malarzy im. Mariana Michalika, w który – liczę na to – włączą się (a mam takie sygnały) ludzie z Polski interesujący się życiem artystycznym i aktywnie w nim uczestniczący – krytycy, artyści, redaktorzy i nauczyciele akademicki.

– Coś jeszcze...

P.G.: Dziękuję wszystkim organizatorom i artystom dobrej woli, zapraszam gorąco miłośników sztuki w Częstochowie i okolicach do korzystania z wystaw Miejskiej Galerii Sztuki.

Władysław Ratusiński

WYMIANA MYŚLI KULTURALNYCH I O KULTURZE JUŻ WKRÓTCE!

ZAGLĄDAJ NA STRONY SERWISU INTERNETOWEGO „ALEJ 3”:

<http://www.emediapro.com.pl/aleje3/>

Swoje propozycje na forum dyskusyjne można przesyłać na adres:

aleje3@emediapro.com.pl

NOVA ET VETERA

Władysław Ratusiński

W numerze 10/2000 „Jasnej Góry”, opisując widok z wałów, wspomniałem, iż najmniej ciekawie wygląda stąd kościół seminaryjny i wyraziłem się niezbyt precyzyjnie, że jego dachy, jeszcze niespatynowane zielenią, przypominają jakiś obiekt przemysłowy. Gdyby tylko dachy, byłyby pół biedy. Cała bryła budzi takie skojarzenia. Z trudnością – przynajmniej od tej strony – można się domyśleć przeznaczenia budowli. I tu dotykamy – zagadnienia współczesnych budowli sakralnych, ich oddziaływania. Zajął się tym w interesującym wykładzie Wojciech Skrodzki, przytaczając właśnie częstochowski kościół seminaryjny jako przykład rozwiązania modernistycznego, w którym cały ciężar sakralnego wyrazu budowli przejmują witraże (drugi taki przykład to kościół Stella Maris ze świetnymi witrażami Jerzego Skąpskiego i Marii Rogo-Skąpskiej).

Głosiłem już (w „Alejach 3”) pochwałę postmodernistycznej architektury. Wypowiadałem się też na temat realizacji nowych kościołów. Z przyjemnością stwierdzam, że krytyk tej miary, co Wojciech Skrodzki (którego znamy także z pracy w środowisku częstochowskim) – myśli podobnie o współczesnej architekturze. Tak jak autor wykładu ogłoszonego podczas Międzynarodowego Kongresu Kultury Chrześcijańskiej w Lublinie¹, uważam, że obecnie do tworzenia budowli sakralnych najbardziej się nadaje postmodernizm. Kierunek stwarzający niewątpliwie problemy dla chrześcijaństwa w dziedzinie myśli i praktyki – w tym, co pod tą nazwą rozumie się w architekturze, jest wprost nieocenionym źródłem możliwości dla wyrażenia sacrum, tworzenia obiektów, które swoim klimatem służą modlitwie i w krajobrazie są świadectwem wiary. Równocześnie krajobraz urozmaicają, przekształcają go.

Wojciech Skrodzki ma na myśli możliwość stosowania historycznych cytatów, ale także podaje przykłady innych rozwiązań w architekturze kościelnej, jak choćby formę szklanej altany, przez którą z wnętrza widać specjalnie dobraną, ciągle zieloną roślinność. Co więcej, prelegent uważa, że postmodernizm powinien stać się na dłużej stylem kościelnym, nawet wówczas, gdy w świeckiej architekturze zacznie znów dominować odmiana modernizmu wzbogacona o doświadczenia postmodernizmu. Podaje przy tym

przykład czasów, gdy budowano kościoły najczęściej neogotyckie, zaś w budowlach świeckich sięgano do renesansu, baroku czy klasycyzmu. Nie posuwając się tak daleko w entuzjastycznej akceptacji architektonicznego postmodernizmu myślę, że w przyszłości może powstać jakiś oryginalny kierunek, styl, nadający się do wyrażania sacrum. Nie musi to być zawsze postmodernizm z historycznymi cytatami. Jednak warto wykorzystywać to, co on obecnie oferuje, w przeciwieństwie do już wyeksploatowanych, nudnych, bezdusznych form, których surowość często bynajmniej nie oznacza ascezy czy szlachetnej prostoty. W dodatku użytkownicy takich budowli, nie mogąc znieść pustki, wypełniają ją przypadkowymi dodatkami, dekoracjami rodem ze świetlicy – co już daje efekt nie do zaakceptowania.

Modernizm w architekturze, według Skrodzkiego, przez swój racjonalizm, skończoność i wymierność zwykle nie daje dobrych rezultatów w budowlach sakralnych. Natomiast w postmodernizmie szczególnie w tym przypadku znajdują zastosowanie zasady równouprawnienia, równowartości oraz właśnie wspomniane już tak zwane cytaty z innej rzeczywistości architektonicznej, zwłaszcza historyczne.

Pierwsze użycie słowa „postmodernizm” w jego obecnym znaczeniu wiąże się z architekturą – jak przypomina Dick Higgins.² To „nowy styl eklektycznego budownictwa, stanowiący przeciwagę dla surowości Miesa van der Rohe i innych ‘nowoczesnych’ architektów”. Na programowe zdanie van der Rohe: „Mniej znaczy więcej” odpowiedział postmodernistyczny architekt Roberto Venturi: „Mniej oznacza nudę”.

Skrodzki mówi o jeszcze jednej sprawie bardzo mi bliskiej. Pisałem już o tym, jak bardzo związane z polskim krajobrazem są wiejskie kościoły – te z dawnych wieków, ale także i neogotyckie czy neobarokowe. Poczciwy wiejski barok, kopuły wież, często wśród potężnych drzew. Jak bardzo przekształcają one najzwyczajniejszy krajobraz z pospolitymi domkami wsi i miasteczek, któremu obecność kościoła dodaje duszę. Pisałem też o obcości, o zgrzycie, jaki niejednokrotnie wprowadza do wiejskiego krajobrazu bryła nowego kościoła.

Skrodzki zwraca uwagę na „stosunek budowli sakralnej do świeckiego otoczenia, (...) do toczące-

¹ Wojciech Skrodzki w: *Sacrum i kultura. Chrześcijańskie korzenie przyszłości*, Lublin, KUL, 2000

² Dick Higgins *Nowoczesność od czasu postmodernizmu*, Gdańsk: Słowo/ obraz, terytoria, 2000

go się życia”, na zewnętrzną niejako rolę budowlę kościelnej, która „promieniuje, uświęca, przekształca – przeistacza”. Odrzuca też Autor błędne przekonanie, że w otoczeniu wiejskim można sobie pozwolić na agresywny modernizm. „Potrzebne jest tu jeszcze czulsze zgranie z otoczeniem”. Prelegent natrząsa się z „pozał się Boże, jednoprzestrzennej arki”, która „jak okręt pruje przestrzeń, wyciągając wzniesioną część dziobową zwieńczoną krzy-

żem”. Zarzuca tego typu realizacjom – jakże słusznie – agresywną obcość wobec otoczenia, zaś ich autorom – brak wyobraźni. Kościół w otoczeniu tak wiejskim jak i miejskim powinien oddziaływać w specyficzny sposób, ewangelizować.

Warto, by to wszystko przemyśleli ludzie, od których zależy kształt nowych budowli sakralnych. Warto też rozejrzeć się, jak te sprawy wyglądają w Częstochowie i w okolicy.

A

L

B

U

M

NOWOPOWSTAŁE MONOGRAFICZNE Wydawnictwo Artystyczne „Biogram” i Biblioteka Publiczna im. dra Władysława Biegańskiego w Częstochowie wydały album pt. „Łyszczyarz-Mularz; zapach terpentyny to jak woń najlepszych paryskich perfum”. 21 czerwca br. w bibliotece, w ramach wernisażu wystawy był on prezentowany publiczności.

Album poświęcony Stanisławowi Łyszczyarzowi miał powstać przy współudziale Edmunda Mularza, który deklarował przygotowanie i opracowanie fotografii związanych z osobą profesora. Tak się jednak nie stało. Autor zdjęć zmarł latem roku 2000. Wydawnictwo przypomina także osobę Edmunda, w związku z przypadającą pierwszą rocznicą jego odejścia. Począwszy od pierwszego pomysłu realizacji książki, poprzez starania wydawnicze będące następstwem zamiarów pierwotnych, przyświecała mi idea zaprezentowania fotogramów ukazujących Stanisława Łyszczyarza takim, jakim był. W różnych okolicznościach życia – studenckich we Wrocławiu, domowych i pracownianych w Częstochowie, kiedy był bohaterem swych wystaw plastycznych oraz uczestnikiem pleneru.

Miał być i jest spełniony jeden, jedyny warunek – Stanisław widziany poprzez obiektyw aparatu fotograficznego, który w jego kierunku ustawiał fotograf, Edmund Mularz. Stąd, nie dominują zdjęcia dzieł plastycznych, a materiałem i treścią albumu stał się dokonany „na gorąco” reportaż o Łyszczyarzu. Publikacja nie pretenduje do miana klasycznego albumu poświęconego malarstwu i rzeźbie. Edmund naświetlił negatywy czarno-białe, poza jednym filmem barwnym. Negatyw kolorowy ukazuje małe formy rzeźbiarskie opracowane przez studentów Stanisława Łyszczyarza, noszące ślady i znamiona jego manualnych korekt. Zdecydowałem więc, by walor zdjęć objął jednolity, całościowy odcień, z pominięciem okładki, na której widnieje reprodukcja barwna obrazu pędzla Łyszczyarza. Stanowił on dar Stanisława

dla przyjaciela – Edmunda. Dzieło, w piękny i naturalny sposób, łączy te dwie postacie. Stało się wizualno-uczuciowym pretekstem do ujrzenia wielu prac Edmunda Mularza, dokumentalisty i świadka pracy malarza, ceramika, jego odpoczynku i odprężenia, obcowania z uczniami, przeżywania przez niego wernisaży, a także chwil ostatniej drogi profesora na cmentarzu „Kule” w Częstochowie. Wykonania zdjęć, na podstawie filmów negatywowych autorstwa Edmunda Mularza, podjął się Zbigniew Burda. Złożyły się one na wystawę otwartą w czerwcu 2001 roku w Bibliotece Publicznej im. dra Władysława Biegańskiego w Częstochowie

Archiwum przekazane mi przez Edmunda Mularza obejmuje prawie pięćset klasek małoobrazkowych i średnioformatowych, wśród których występują kilkakrotne naświetlenia, powtórzenia tego samego motywu. Wyjątkowym fragmentem dokumentacji jest fotografia ukazująca samego Edmunda. Na błonie, jako negatyw, sąsiaduje z naświetleniami dotyczącymi Stanisława Łyszczyarza. Czy została wykonana poza otoczeniem Łyszczyarza, a może przez niego? Napisy na afiszach w tle sugerują scenierię muzyczną. Filharmonii? A może to, zatrzymany w czasie autoportret Edmunda, „strzelony” migawką samowyzwalającą? Posegregowane klisze opakowane były w kartki papieru i opisane na ich zewnętrznych powierzchniach. Poczynione przez Edmunda Mularza autorskie dane, na tle starej patyny celulozy, zostały wykorzystane jako elementy graficzne, na stronach – drugiej i trzeciej – okładki oraz na tejsze karcie albumu. I jeszcze refleksja... Wspólnie ze Zbyskiem oddaję hołd plastyce Stanisława i fotografii Edmunda. Analogicznie do ich współpracy, takową i my podjęliśmy. Zbigniew Burda czuje się wychowankiem Mularza, a ja Łyszczyarza. Podobnie do nich, pochodzących z innego pokolenia, także jesteśmy rówieśnikami. Chyba jednak coś kontynuujemy...

Marek Czarnołęski

KARTKA ZE SZKICOWNIKA

GDZIE SĄ OGONKI?

... może zapytać zwiedzający w czerwcu wystawę rysunku i malarstwa częstochowskiego plastyka Mirosława Czarnockiego, w Galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”. Ogonki jabłek, czyli naturalne „pępowiny” łączące za życia owoce z drzewem. A do tego jeszcze owoce na obrazach są jednakowymi kulami z plamkami w miejscach po zwiędłych kwiatach. Brak naturalnego elementu anatomii owoców, w zasadzie mogłyby posłużyć za charakterystykę całej twórczości Czarnockiego – sztywnej reżyserii kreacyjno-kompozycyjnej prac. Nadgorliwość zawierają i inne rekwizyty martwej natury, kiedy czosnki i cebule wieńczą szpice aromatycznych skór. A owoce, to trójwymiarowe bryły i już Cézanne, na którego autor się powołuje, umiejętnie opracował przestrzeń ukazywaną w malarstwie, bądź co bądź na płaskich powierzchniach. Dlaczego więc owoce Czarnockiego posiadają jeden, spłaszczony wymiar? Inne oblicze martwej natury to portrety kwiatów. Centralnie zakomponowane w szklankach, wazonach, słoikach, kufkach, dzbanach kuszą swymi walorami soczystości i urody. Żłudnie radują oczy, które nie widzą sztuki, a zaledwie rzemiosło nauczyciela plastyki. A Mirosław Czarnocki nim jest, wprawdzie nie z wykształcenia, ale z zamiłowania. Malarzem może się obwoływać tylko z amatorska, gdyż posiada dyplom architekta wnętrz i może projekty mieszkalne byłyby godniejsze zainteresowania od martwej natury, pejzaży, czy portretów. Ponadto Mirek sprawdził się w Egipcie, pracując jako rysownik ekipy archeologicznej.

Pejzaże, a właściwie widoczki. To precyzyjniejsze określenie prac ukazujących płaskość wybrzeża morskiego, falistość gór, pionów samotnych drzew, zagród wiejskich z drobiem, pniakami do rąbania drewna, miskami niezbędnymi przy karmieniu przydomowych zwierząt. Najprymitywniejszą pracą, mówiąc językiem prof. Tadeusza Dominika, wśród tego zestawu jest pejzaż z łodziami. Faktura wody morskiej, to jedynie wężyki fal, a perspektywa pozostawia wiele do życzenia. Patrząc na pejzaże Czarnockiego odczułem ich banalność i pamiętkowy

charakter. Malowanie zastępuje twórcy fotografowanie natury w czasie urlopu, wczasów. Ale jest jeden godny zachwytu, niewielki, kameralny pastel z motywem Świeradowa Zdroju. W nim barwy, formy (potraktowane według Cézanne’a), zaświadczyły, że gdyby Czarnocki tylko chciał, mógłby być przyzwoitym malarzem. Ten niepozorny skądinąd obraz stał się najciekawszą kompozycją w skali całej wystawy.

Studia portretowe autorstwa Mirosława Czarnockiego muszę zaliczyć do najsłabszych. Przywołują atelierowe pozy przyjmowane przez pozujących fotografom za kotarą, na jakimś teksturowym, namalowanym tle. I znów narzucające się wizualnie szkolarstwo. Nawet nie akademizm, ale norma obowiązująca w liceum plastycznym, gdzie Czarnocki uczy rysunku i malarstwa. Mam więc uzasadnione wątpliwości, czy dzieła tego plastyka są dobrym i oczekiwanym wzorem dla młodzieży? Kompozycje tworzą bojaźliwą całość, a wyobraźnia oglądającego pyta: „...czy aby malarz stawiał pierwsze kroki w sztuce?...” Skłonny jestem sparafrazować popularne przysłowie i stwierdzić: „...niedaleko stoi jabłoń od swych jabłek...”

Znając prace uczniów szkoły plastycznej, wiem iż wielu z nich potrafi osiągnąć w obrazach czy rysunkach znacznie większą malarskość niż poczynił to Czarnocki. Wystawę opanował nastrój występujący podczas semestralnego przeglądu i zaliczenia prac w szkole. Lokalne, obce sobie barwy; często farba, a nie kolor; powierzchnie detali opracowane niby wnikliwie, a jednocześnie „zmęczone”; kłójące się wzajemnie – sztywna lekkość pociągnięć pędzla z próbą cyzelowania granic namalowanych rekwizytów, oto podstawowa charakterystyka tej sztuki. Ale jako malarza, dyskwalifikuje Czarnockiego przede wszystkim brak poczucia zależności od siebie barw. Bez tej cechy nie można malować. I jeszcze te surowe biele...

Narzędzie malarskie Czarnockiego podąża zawsze za formą, przesadnie ją podkreślając. A sztuka to także kontrasty. Obojętnie czy artysta maluje fale na morzu, fałdy draperii, włosy, załamania ubiorów traktuje je niby przestrzennie, a jednak infantylnie. Obcując dłużej z dziełami twórcy można zwątpić w sens malarstwa. Usilny, tytaniczny wysiłek, by w ogóle stworzyć obraz, uniemożliwia kreację artystyczną. Prace mogą zainteresować adepta sztuk plastycznych, lecz nie kogoś, kto wie na czym polega prawdziwe malarstwo.

Marek Czarnołęski

WOJCIECH PRAŻMOWSKI

Fotografie wyrwane spod serca

Pobieżne przejrzanie dokumentacji prasowej z kilku ostatnich wystaw Wojtka Prażmowskiego, jakie odbyły się na różnych kontynentach oraz najstymniejsze czasopisma, z których pochodziły obszerne recenzje-marzenia, odebrały mi ochotę do pisania o nim w „Alejach”, bądź co bądź prowincjonalnym piśmie. Wahałem się kilka tygodni. Z drugiej jednak strony perswadowałem sobie: przed laty pisałem o nim pierwszy; nasze fotografie ocierały się kiedyś o siebie na tych samych wystawach; przegadaliśmy wiele godzin o magicznych skrzynkach z jeszcze bardziej magicznymi szkiełkami. Z sumy tych rozterek i dywagacji wyłonił się, niestety, obraz naszej niewiedzy o dokonaniach tego artysty międzynarodowego formatu, tutaj, w Częstochowie, gdzie tworzy i żyje wśród nas. I to był ten najważniejszy argument, przekonujący mnie o potrzebie napisania o Nim.

Krąg pierwszy

Janusz Mielczarek – Wojtku, Twoja ostatnia wystawa „Biało-czerwono-czarne”, którą pokazałeś niedawno w pawilonie częstochowskiego Muzeum w Parku Staszica, prócz tego, że jest inna od tych z lat 90., ma dla mnie kilka ważnych znaczeń.

Pierwszym jest to, że Twoja droga twórcza, w czasie której w różny sposób przedstawiałeś swoje widzenie świata, co – jak potwierdzają wystawy w wielu zakątkach świata – potrafiło rozbudzić zainteresowanie i podziw, zatoczyła koło i zbliżyła się do punktu wyjścia, czyli do tej czystej fotografii tradycyjnej od jakiej zaczynałeś. W proponowanej przez Ciebie formie widzę kontynuację ważnego dzieła naszej wspólnej Mistrzynie – Zofii Rydet. Ważnego nie tylko dla polskiej fotografii „Zapisu socjologicznego”, choć u Ciebie fabuła fotografii rozgrywa się bez udziału człowieka, grę prowadzi wyłącznie martwa natura w pejzażu Polski końca XX wieku.

Innym ważnym dla mnie znaczeniem jest, że na powrót otwierasz się na tę prowincję, na której egzystujesz wraz z rodziną, a czynisz to w czasie gdy nie słabnie zainteresowanie Twoją sztuką ze strony wystawców zagranicznych, a najnowsza Encyklopedia Powszechna PWN, jako jedynego twórcę z Częstochowy zamieszcza hasło: Wojciech Prażmowski.

Wojciech Prażmowski – Do fotografii tego cyklu dojrzałem dość długo. Wpływał on z kilku wątków. Jednym z nich było także nie spełnienie się oczekiwań jakie miały przynieść lata 90. Nie zamierzałem kontynuować wątku prac Zofii Rydet, która była wspaniałym czło-

wiekiem i wybitnym artystą, ale Twoje porównanie zawiera myśl wartą zastanowienia, dla mnie cenną i sympatyczną.

Zanim jednak powstały te fotografie miałem szczęście, że moją propozycję zaakceptowało Ministerstwo Kultury i Sztuki, które wyasygnowało stypendium na tę realizację, by po dwóch latach przebywania w różnych miejscach, wędrowania, poszukiwania, penetrowania najdalszych peryferii, m.in. także specjalnie zakupionym do tego celu starym motorowerem – simson, zbiór powstał.

Wprawdzie na tych fotografiach nie ma człowieka, ale za to on stoi za tym co przedstawiają. On to budował – choć nie zawsze z własnej woli – i on doprowadza to otoczenie do stanu, który czasem śmieszy, częściej jednak poraża i smuci.

Jeśli idzie o drugą sprawę, czyli pewien dystans do spraw lokalnych, to oczywiście miałem swoje racje i w dalszym ciągu sądzę, że są one po mojej stronie, ale z wiekiem człowiek staje się bardziej tolerancyjny. Najbardziej wymagający, niezmiennie, pozostają wobec siebie i tego co staram się tworzyć, bo to jest dla mnie synonim Twórcy, pisanego z dużej litery.

J.M. – Spróbujmy cofnąć się o ponad trzydzieści lat i powrócić do początku pasjonującej przygody Twojego życia, fotografii.

W.P. – Trudno precyzyjnie określić w twórczości powstanie czegoś, co kontynuuje się przez całe życie. Wiele wątków dojrzewa przecież w człowieku zanim potrafi się je wyrazić, zanim nada im się kształt poprzez narzędzie tego wyrazu. Ja za swoją cezurę czasową przyjąłem rok 1968. Wówczas to za namową ówczesnego prezesa Częstochowskiego Towarzystwa Fotograficznego, Marka Stawiarskiego, dałem swoją fotografię na ogólnopolską wystawę, jaka odbywała się w Filharmonii w Częstochowie. To, że zawisła ona w pobliżu dzieł takich mistrzów jak Edward Hartwig i Zofia Rydet, dało mi nie tylko wiele radości, ale wyzwoliło silne postanowienie: być w przyszłości dobrym w tej dziedzinie.

J.M. – I tym razem kredo dziewiętnastolatka oparło się innym pokusom młodości. W filmie „Portret wewnętrzny”, także częstochowianina, Łukasza Wylężalka, powtarzasz parokrotnie, że bardzo chciałeś być artystą, co się spełniło w wymiarze, o jakim zapewne nie marzyłeś.

W.P. – W czasach gdy ja miałem naście lat trzeba było w większości samemu, czy w grupach kolegów organizować sobie spędzanie wolnego czasu. Ty w tym czasie miałeś za sobą

przygody z teatrami studenckimi, literackie i fotograficzne, ja dopiero stawałem przed wyborem. Nie ukrywam, że postanowienie bycia artystą było we mnie silne. W moim górnolotnym przekonaniu młodego człowieka artysta, to był ktoś nadzwyczajny, osoba ważna dla innych, którą darzy się szacunkiem i podziwem za to, że potrafi czynić rzeczy dane niewielu.

Jak pamiętasz przeżywaaliśmy niezwykłość filmów **Andrzeja Wajdy**, ja szczególnie podziwiałem „Brzezinę”. Moim marzeniem była praca operatora przy filmach tego właśnie reżysera. Ono skierowało mnie do Łódzkiej Szkoły Filmowej, gdzie na 4-5 miejsc było 150-170 kandydatów. Walczyłem przez trzy lata i za każdym razem bez sukcesu. Świetne referencje miała wówczas praska szkoła FAMU, ale tam można się było dostać po pierwszym roku szkoły w Łodzi. Koło się zamykało.

Zdobyłem więc w technikum zawód leśnika nie przestając marzyć o fotografowaniu. Byłem już jedną nogą na posadzie w leśniczówce, ale w ostatniej chwili zrobiłem wolnę i zatrudniłem się jako młodszy laborant w nowopowstałej wówczas w Częstochowie Wyższej Szkole Nauczycielskiej, w Zakładzie Nowych Technik Nauczania. Oczywiście fotografowałem, brałem udział w ogólnopolskich i międzynarodowych – na ówczesną skalę – wystawach, ale rozumiałem, że samodzielne odkrywanie tajemnic warsztatu fotograficznego jest coraz trudniejsze.

J.M. – Poszczęściło Ci się. W 1972 roku dostałeś się na brneńską SUPS, która miała już za sobą blisko półwiecze istnienia, z najlepszymi tradycjami awangardy lat dwudziestych i trzydziestych wywodzącymi się z Bauhausu.

W.P. – Dużo zawdzięczam tej szkole, ale dostanie się do niej w czasach, gdy każdy wyjazd za najbliższą nawet granicę budził u strużów porządku podejrzenia, poprzedziło sporo problemów. Warto było, w Brnie byli świetni wykładowcy, a czeska fotografia w tamtych czasach miała silną pozycję w świecie.

J.M. – Efekty tej edukacji były zauważalne już w 1974 roku na wystawach, które miałeś w Częstochowie, najpierw w Klubie EMPiK, a później w Politechniku. Coraz śmiej się stosowałeś formy grafizujące, a także wprowadziłeś w kadr obiekty popolite, często wręcz emanujące brzydotą, turpistyczne. Wówczas budziło to kontrowersję, a nawet niechęć.

W.P. – W całej mojej twórczości bliskie jest mi stwierdzenie **Tadeusza Kantora**: „Pochylenie się



„Inicjacja”, 1987

nad przedmiotami najniższej rangi”. Stąd taki sposób obrazowania.

Mniej więcej w tym czasie otrzymałem kartkę od **Juliusza Garsteckiego** (ważna postać historii polskiej fotografii, krytyk i wybitny fotograf, liczący sobie ponad 85 lat i wciąż aktywny twórca, mający także częstochowskie korzenie – przyp. J.M.), w której pisał, że czas pomyśleć o staraniu się o członkostwo w Związku Polskich Artystów Fotografików. To była wówczas dla nas fotografujących instytucja-marzenie, której członkowie otrzymywali urzędowo status artysty fotografa, co poprzedzone było oczywiście udokumentowanymi osiągnięciami artystycznymi i niełatwym egzaminem.

„Mały słownik wojenny”, 1994



J.M. – A także, przy mizerii rynku fotograficznego niosło istotne przywileje zaopatrzeniowe, zamówienia. Ułatwienia przy wyjazdach zagranicznych, przeważnie do krajów tzw. zaprzyjaźnionych, ale jednak...

W.P. – Ostatecznie ZPAF-owskie „papiery” otrzymałem w 1977 roku. Byłem wówczas jednym z młodszych członków. Uważałem to za istotny skok jakościowy w moim artystycznym bycie i bardzo mi zależało, aby potwierdziło się to w robionych przeze mnie fotografiach.

J.M. – Czyniłeś to konsekwentnie, że zacytuję: Wystawa Nowoprzyjętych, ZPAF, Warszawa 1977, wystawy indywidualne: „Horyzont”, Warszawa 1978, „Kondycja”, Galeria ZPAF Katowice, marzec 1979 i BWA Częstochowa, maj 1979 r.

W.P. – To były ważne prezentacje, wciąż się coś działo, także społecznie. W trudnym roku 1982 rozstałem się z pracą na WSP, aby działać samodzielnie. Niosło to spore ryzyko, ale też kusilo niewiadomymi. Pracowałem przy wystawach, realizacjach wydawnictw, plakatów, ale wciąż miałem niedosyt, nie chciałem na tym skończyć. Wciąż pracowałem, starałem się zgłębiać tajniki doskonałości warsztatowej, robiłem to z pokorą, ale i przekonaniem, że jest to klucz do tego co jeszcze u mnie nie nastąpiło, czego oczekiwałem i intuicyjnie wyczuwałem. Oglądałem i analizowałem zdjęcia najlepszych, potem pracowałem w ciemni nad swoimi fotografiami. Robiłem to dopóty, aż osiągnąłem zadowalający mnie poziom.

Kiedy już wiedziałem, że mogę zrobić dobrą, bromową odbitkę, zacząłem bardziej analitycznie przyglądać się wystawom. Starałem się odpowiedzieć sobie: dlaczego jedna jest dobra a inna nie. Czy jest to sprawa treści zdjęć, czy indywidualności autora, aranżacji, rangi miejsca, tematów itd. Tak więc cały czas, mając status tak zwanego artysty, uczyłem się i robiłem to jak uczeń bardzo pilny. Podbudowany nową wiedzą nabrałem przekonania, że jeśli naprawdę mają się spełnić moje młodzieńcze marzenia, to muszę zmierzyć się z dużymi przedsięwzięciami.

J.M. – I zagrałeś pokerowo: wszedłeś do banku z walutą, której tam nie znali.

W.P. – Istotnie, to było działanie prawie irracjonalne, pod prąd, nie mające nic wspólnego z panującymi wówczas modami i kierunkami w sztuce fotograficznej. Była druga połowa lat 80., postanowiłem zrobić fotografie szczególnie mi drogie, wyrwane spod serca, dotyczące losów osób mi bliskich i najbliższych. Wykorzystując

zaproszenie na zorganizowanie wystawy w Małej Galerii ZPAF przy Placu Zamkowym w Warszawie wiedziałem, że pokazując dwadzieścia dwie małe fotografie, których wiele z pozoru nie odpowiadało także utartym kryteriom technicznym, mogę ponieść klęskę, z plamą na życiorysie twórczym, albo wygrać.

Pierwsza Światowa Wystawa Zdjęć Zepsutych, jaką pokazałem w styczniu 1988 roku w Małej Galerii zaskoczyła środowisko i krytyków. Tak naprawdę o jej sukcesie upewnił mnie kilka dni po wernisażu telefon od **Urszuli Czartoryskiej**, która złożyła mi propozycję zakupu kilku fotografii z tego zestawu do Muzeum Fotografii w Łodzi. I to był zwrotny moment w moim życiorysie twórczym.

Sądzę, że na sukcesie tej wystawy zaważyła niezwykła szczerłość z jaką starałem się pokazać sprawy rodzinne, bardzo intymne otwarcie się przed widzem, który podświadomie doszukuje się analogii do losów swoich bliskich. Tak jest wszędzie, Wystawa, która później stała się częścią obszerniejszej mojej ekspozycji wędrującej po Polsce i świecie była specjalnie oczekiwana przez wystawiających. Życie pisze jednak dalszy ciąg tych historii. W ubiegłym roku byłem na Litwie, dotarłem nad jezioro Narocz, gdzie ponad sześćdziesiąt lat temu poznali się moi rodzice. Mama spędzała tam wakacje, pochodziła z tamtych stron, ojciec przyjechał na żagle, aż z Zagłębia. A nieco później, w czasie koszar wojny, wywiezioną do Niemiec moją przyszłą mamę, zakochany w niej chłopak z Zagłębia, pojechał i po prostu wykradł z obozu pracy pod Berlinem.

Nie muszę ci mówić co przeżywa się w takich miejscach, jakie cisną się wspomnienia i refleksje. W maju tego roku byłem tam znowu, może uda mi się przełożyć to na obraz fotograficzny.

J.M. – I w ten sposób zamyka się

Krąg drugi

– Przed laty, przy okazji kawiarnianego spotkania, pokazywałeś szkice, którymi przygotowałeś się do sesji fotografowania mody. Uderzyła mnie wówczas starannie zrobiona dokumentacja i precyzja z jaką kreśliłeś sytuacje, które miały być realizowane na składowisku... złomu. Potem fotografie te widziałem w „Ty i Ja”, piśmie zupełnie niewiarygodnie atrakcyjnym na tle ówczesnej szarości, redagowanym graficznie przez wspaniałego i niezapomnianego Romana Cieślewicza.

W.P. – Z fotografowaniem mody związana jest moja najbardziej barwna przygoda fotograficzna, o której – powiem nieskromnie – każdy z nas marzy. W roku 1990 miałem wystawę w Tokio, a ponieważ wszystko, co dotyczy tam takiego wydarzenia jest starannie zaplanowane, więc jednym z punktów programu był mój parominutowy wywiad telewizyjny. Po wywiadzie zadzwoniła do mnie sekretarka potentata w świecie mody Mitsuhiro Matsudy, który chciał się ze mną spotkać. W czasie rozmowy pan Matsuda wystąpił z propozycją sfotografowania jego kolekcji. Oczywiście przystałem na to, po czym ustaliliśmy spotkanie za dwa miesiące w Paryżu. Nie potraktowałem tej obietnicy tak całkiem serio, ale ku mojemu zaskoczeniu wkrótce otrzymałem bilet lotniczy do Paryża i zdarzenia zaczęły toczyć się jak w ładnej bajce. Mogłem dowolnie wybierać miejsce fotografowania i modelki. Tych przedstawiono mi grono 150-osobowe. Ze względu na późną jesień, a także sentymenty osobiste wybrałem okolice Cordoby i Sewilli w Hiszpanii. Wróciłem na krótko do Polski i niebawem zaczęła się ta najważniejsza część przygody.

Towarzysząca mi ekipa składała się z profesjonalistów różnych narodowości. Pracowałem w nieprawdopodobnym wprost komforcie. Spełniano moje wszelkie „grymasy” dotyczące pracy przy zdjęciach. Jeśli na przykład trzeba było na ulicy zatrzymać ruch dla wykonania jakiegoś ujęcia, to go zatrzymywano; zrobić zdjęcie w zabytku, do którego był zakaz wstępu, to zakaz przestawał na czas fotografowania obowiązywać. Była nawet sytuacja, że spodobało mi się uschnięte drzewo, które jednak w innym miejscu – jak mi się wydawało – komponowało się z pięknie oświetlonym górskim pejzażem. Następnego dnia rano drzewo było przesadzone do wskazanego miejsca, ale tu akurat się pomyliłem. Szczytem wszystkiego było to, że nie pozwolono mi nosić aparatu fotograficznego, na co się ostatecznie nie zgodziłem, ale niejako w zamian sympatyczny Japończyk robił mi masaż ramion co kilkadziesiąt minut.

W ten sposób ja, człowiek z wciąż jeszcze wówczas siermiężnego Wschodu, dzięki fotografiom, które na początku lat 70. zastąpiły mi las, mogłem przeżyć tę niezwykłą, barwną przygodę. Problem zaczął się dopiero wówczas, gdy wróciłem do domu z ponad dwoma tysiącami negatywów, z których musiałem wybrać trzydzieści kilka. W ciągu kilku tygodni jakoś sobie z tym poradziliśmy i zawiozłem do Tokio 36 fotografii, z których wspólnie odrzuciliśmy tylko dwie.

„Listy z Portugalii”, 1994 (foto-obiekt)



Drugą sesję dla Matsudy robiłem rok później w Polsce, która była dla niego krajem dość egzotycznym, odwiedzanym po raz pierwszy. Fotografowaliśmy w okolicach Krakowa, w Ogrodzieńcu.

J.M. – Czy honorarium za taką bajkę jest tajemnicą?

W.P. – Tak.

J.M. – Wojtku, Twoje fotografie mody sprzed ponad dziesięciu lat, choć funkcjonują pośród innych na twoich wystawach, to zapewne „nie załapały by się” do dzisiejszych kolorowych pismek licznych na naszym rynku i traktujących o tak zwanej modzie.

W.P. – Może to nawet dobrze, bo wówczas gdy je robiłem nie myślałem o podziale na komercję i artystyzm, o czym czasem przypominają mi moi studenci. Ja nadal uważam, że bez względu na temat albo robi się coś rzetelnie albo byle jak, a ponieważ zawsze serio podchodzę do tego co robię, więc tak też podchodziłem do tamtych fotografii mody. Nie mogło być taryfy ulgowej tylko dlatego, że fotografowałem jakąś szmatkę czy nakrycie głowy. Wkładałem w te fotografie podobny ładunek prywatności jak w inne bardzo bliskie mi zdjęcia i być może dlatego wciąż bronią się one przed goryczą zapomnienia, co dawno spotkało przedstawione na nich stroje.

J.M. – Czy masz, i czy mógłbyś wymienić fotografie, które znaczą na Twojej drodze twórczej ważne etapy?

W.P. – Jedną z takich jest fotografia z cyklu „Ech wojenka... wojenka”, na której spotkali się moi przodkowie nigdy ze sobą nie obcujący: rodzina mojej mamy z fotografii zrobionej przed wojną na Litwie, a ze strony ojca ułan uczestniczący w paradzie kawaleryjskiej na krakowskich błoniach w roku 1933.

Inny etap znaczy fotografia dedykowana **Andrzejowi Wajdzie**, na której figuruje zrobiona przeze mnie maszyna symbolizująca „człowieka z żelaza”, sfotografowana na tle muru. Z tym murem to była taka dziwna historia. Zapamiętałem sobie, że mur, który by się najbardziej nadawał do tego zdjęcia jest w jednym z miasteczek północnej Francji. Korzystając z pomocy francuskich przyjaciół pojechałem tam 1600 km z tym rekwizytem w bagażniku, aby zrobić tylko jedno zdjęcie. Dzisiaj, z dystansu widzę to nieco inaczej, bo mur jak mur, podobne są w Częstochowie czy Łodzi, ale wówczas był to dla mnie synonim perfekcjonizmu, ta idea doprowadzania tego co tworzę do 102 procent.

Identyfikowany jestem również z fotografiami „paczkowanymi”, które **Jerzy Lewczyński**

nazywa – z mumifikowanymi. Paczki te dzięki swojej zawartości, a są tam wewnątrz także fotografie, mają swoją specyficzną energię. Najbardziej znaną jest ta z przebraniem za żołnierza portugalskim chłopcem, która była na plakacie Ars Baltica Triennial – eksp.: Szlezwig-Holsztyn, Berlin, Drezno, Helsinki, Tallin, Odense, Warszawa, Poznań, Paryż 1996–1999 (W. Prażmowski był tam jedynym autorem zaproszonym z Polski – przyp. J.M.).

Ważne, z kilku względów, są fotografie z cyklu „Bardzo martwe natury”. Stanowią początek mojej przygody z kolorem w fotografii, a zapewne zauważyłeś, że kolor na nich jest nieco stłumiony, nie za bardzo czysty.

J.M. – Wieje od nich prawie karykaturalną ascezą i bardzo gorzko opowiedzianą anegdotą.

W.P. – Bo jest to moja opowieść o świecie, o którym marzyliśmy, a który spełniając się pokazuje swoje pazury. Optymistycznym jest, że wystawa powstała dzięki wspólnemu wysiłkowi Muzeum i Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie oraz Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, aby nieustannie od 1997 roku wędrować po świecie.

J.M. – Spróbuj przybliżyć znaczenia nie zawsze czytelne dla niewtajemniczonego widza Twoich fotografii, jak na przykład tytuły serii: Muzeum w Valenciennes, Złamany Anioł, Tribute to...

W.P. – Zestawy te powstawały na ogół w sytuacjach, gdy zapraszany byłem do realizacji projektów w międzynarodowym gronie. „Tribute to...” był robiony na 100-lecie kina, we Francji, w roku 1996. Podobnie „Złamany Anioł”, powstał w ramach Mission Photographique Transmanche w roku 1994, w CRP Douchy, we Francji.

Nieco inna jest historia „Muzeum w Valenciennes”. Byłem tam akurat w czasie, gdy muzeum przygotowywano do remontu, proponowano mnie i kilku innym fotografom realizację związanego z tym projektu. Fotografowałem tę, z pozoru, bezładną graciarnię, aby nadać później zdjęciom treści, o które mi chodziło.

J.M. – „Muzeum w Valenciennes”, moim zdaniem, to najbardziej wzruszający zbiór poezji, jaki naszkicowałeś obiektywem w Twojej twórczości, gdzie zastygli pensjonariusze muzeum snują swoją nieustającą i przejmującą skargę o nieodwracalności i okrucieństwie czasu.

A co dzisiaj?

W.P. – Przede wszystkim nieustająca wędrówka moich fotografii po galeriach w kraju i za granicą. Bywa to często kłopotliwe i absorbujące,



Tribute to A. Hitchcock, 1995

„Zapominanie”, 1996 (foto-obiekt)



gdyż w moim przypadku są to skrzynie i paki, na które trzeba sporej ciężarówce, a jednocześnie stanowi dla autora tę najwyższą formę akceptacji jego twórczości. Jest dzieleniem się tym szczególnym bochenkiem chleba, który mozolnie wypiekał z mąki powstałej z najstaranniej przez niego wypielegnowanych ziaren.

Idąc śladem „Biało-czerwono-czarnych” rozpocząłem w tej konwencji kolejny dokument dotyczący Śląska. To ostatnia chwila na jego realizację.

J.M. – W kontekście spraw, o których rozmawiamy, prawie zgrzytem jest pytanie o technikę.

W.P. – Dlaczego? Akurat w fotografii jest to istotne, może nie najważniejsze, jak sądzi wielu, że nadzwyczajnie zelektronizowane skrzyneczki i super szkiełka robią za nich najważniejszą robotę, ale jednak. Ja, przed ponad dwudziestu laty zdecydowałem się – trochę za namową **Zofii Rydet** – na średni format, z którego łatwiej robi się wszelkie montaż. Dlatego wciąż posługuję się tą samą Mamiją RB 6x7 cm. Filmy przeważnie wywołuję w rodinalu i mikrofenie a papiery w gotowych wywoływaczach. Tylko w przypadku jakiejś większej serii sam składam wywoływacz pozytywowo. Filmy czarno-białe to głównie Ilford HP5 plus i Agfa APX 400. „Bardzo martwe natury” robiłem na slajdach barwnych Agfy. W ciemni mam wysłużony powiększalnik Magnifax 4 z czeskim obiektywem Anaret 105 mm. A więc sama powszedniość, żadnych wodotrysków.

J.M. – Trzydzieści lat temu bezskutecznie kołatałeś do zaczarowanej i wymarzonej „Filmówki” w Łodzi, dzisiaj jesteś tam wykładowcą w Wyższym Studium Fotograficznym.

W.P. – Wygląda na to, że dopiąłem swego, choć uczyniłem to wejściem zarezerwowanym dla nielicznych. Czuję się w tej sytuacji dość komfortowo, bo dowodzi ona, że czas jaki odliczał mój zegar od chwili „wyjścia z lasu” nie został stracony, a przy tym niczego – poza rodzinną tradycją – nie otrzymałem w prezencie.

W tej szkole przez lata zewnętrznie właściwie nic się nie zmieniło, stoją nawet w korytarzu te same fotele, w których oczekiwaliśmy przed wejściem na egzamin. Myślę, że z moją w tej szkole obecnością pogodził się również profesor Pękosławski i przestał przewracać w grobie. On to bowiem na kolejnych egzaminach witał mnie przed laty – Pan znowu tutaj?

J.M. – I w ten sposób, Wojtku, zamknął się krąg trzeci, ostatni. ■

Rozmawiał Janusz Mielczarek

Ważniejsze wystawy indywidualne Wojciecha Prażmowskiego tylko w latach 1988-2001

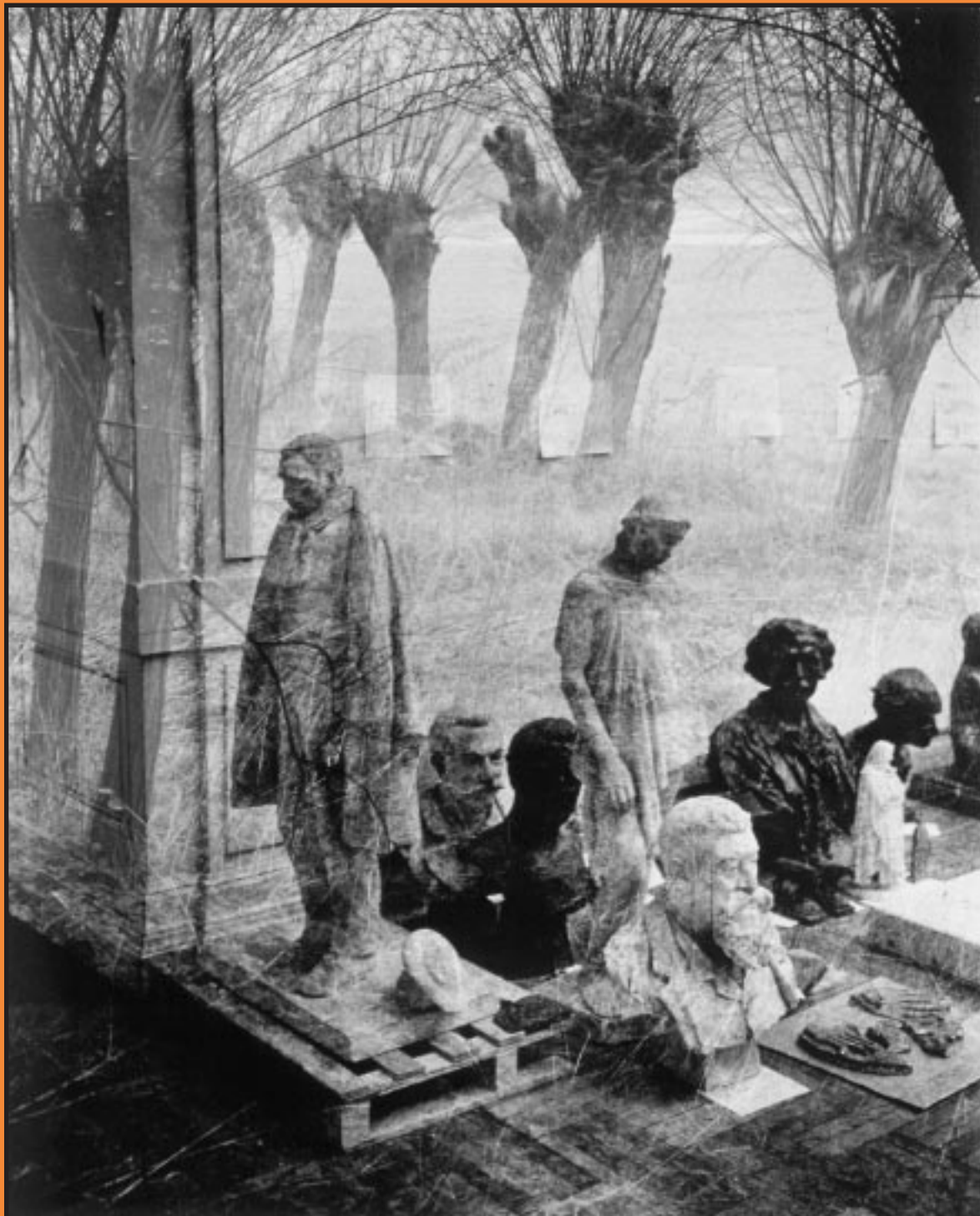
- Pierwsza Światowa Wystawa Zdjęć Zepsutych”, Mała Galeria ZPAF, Warszawa, styczeń 1988; BWA Lublin, kwiecień 1988.
- „Horizonte Europeo”, Casa de la Cultura Reyes Heroles, Meksyk, 1992.
- „A Family Album”, Fotofest, George R. Brown Convention Center, Houston; Image Gallery, Arhus; Galerie Photo Sephie, Bruksela 1992 r.
- „Wojciech Prażmowski”, Jackson Fine Art Gallery, Atlanta, 1993 Schneider Gallery, Chicago; Jackson Fine Art Gallery, Atlanta, 1994.
- „Past Imperfekt”, Lowinsky Gallery, Nowy Jork, 1994; „L’Ange Brisé”, Mision Photographique Transmache, CRP, Douchy, 1994.
- L’Ecole Superieure d’art. de Cambrai, 1995.
- Du Mont Kunsthalle, Kolonia, 1996.
- „Wojciech Prażmowski” Striped House Museum of Art, Tokio, 1997.
- „Fotografie-Fotoobiekty”. Galeria „Koło”, Gdańsk, 1997; Galeria PaCamera, Suwałki, 1998; Galeria „B and B”, Bielsko-Biała, 1998.
- „Bardzo Martwe Natury”, Muzeum Okręgowe w Częstochowie, 1997; Mała Galeria ZPAF, Warszawa, 1997.
- „100 fotografii”, Bunkier Sztuki, Kraków, 1998 oraz Sopot, Katowice, Lublin, Szczecin, Wrocław, Częstochowa, Radom, Łódź – lata 1998-2001.
- Apsilankyami, Wilno, Mińsk, Kijów, 1998-1999 (wraz z M. Hermanowiczem).
- „Wojciech Prażmowski”, Stripped House Museum of Art, Tokio, 1999.
- „Wojciech Prażmowski” Wiesbaden, 2000.
- „Wojciech Prażmowski” ifa-Galerie, Berlin, 2000.
- „Fotografie z atrybutami”, Budapeszt, Belgrad, 2000.
- „Biało-czerwono-czarne”, Muzeum Okręgowe w Częstochowie, 2001.



Ech wojenka, wojenka..., 1987



Muzeum w Valenciennes, 1995-1996



Wojciech Prażmowski – Muzeum w Valenciennes, 1995–1996